NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 6 kwietnia 1907. Nr. 14.

Krwawe rozruchy.

(Treść na stronie 2).



Krwawe rozruchy.

(Do illustracyi tytułowej.)

Rozkiełznane namiętności chłopów rumuńskich, podniecane z jednej strony nienawiścią rasową i religijną, i agitacyą postronną, z drugiej—nędzą, były przyczyną wprost zgrozą przejmujących wykroczeń przeciw ludności żydowskiej w Mołdawii i na Wołoszczyznie.

Jeden z epizodów tej prawdziwej tragedyi, jaka na urągowisko cywilizowanemu światu rozgrywa się w Rumunii, przedstawia nasza rycina tytułowa. Gromada pijanych chłopów uzbrojonych w kosy, siekiery i t. p. rzuciła się na dom żydowskiego dzierżawcy, niszcząc, paląc, rabując wszystko, co jej podpadło pod rękę.

Gdyby to tylko chodziło o same mienie! Ale i życie niespodziewanie zaskoczonego dzierżawcy, oraz jego rodziny wisi na włosku. Rozbestwione bowiem chłopstwo nie szanuje ani płci, ani wieku. Na Wołoszczyznie mężczyzn żydów oblewano naftą i palono, kobiety zaś, nawet małe dziewczęta gwałcono.

Do takich to rezultatów doprowadziła, przeniesiona z sąsiedniej Rosyi, agitacya antysemicka, której rząd poprzedni, czy nie chciał, czy nie mógł przeszkodzić.

Śmierć znakomitego chirurga.

Z pomiędzy wszystkich gałęzi medycyny, chirurgia poczyniła w ostatnich pięćdziesięciu latach niezaprzeczalnie największe postępy, z których korzysta cierpiąca ludzkość. I jeżeli już w czasie pokoju mnóstwo ludzi szukać musi porady chirurga, powierzając jego umiejętności oraz zimnej krwi swe życie, a przynajmniej zdrowie, to cóż dopiero mówić o chwilach wojny, gdy setki tysięcy rannych oczekuje ratunku z ręki lekarzy-operatorów.

To też niema wdzięczniejszego pola dla lekarza nad chirurgię. Zbiera on na niem oprócz sławy i zaszczytów także majątek, jak tego mamy dowody na wszystkich wybitnych operatorach od najdawniejszych czasów.

Jednym z takich właśnie wybitnych operatorów był kilka dni temu zmarły dyrektor berlińskiej kliniki chirurgicznej przy uniwersytecie, dr. Ernest Bergmann, którego podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze.

Z pochodzenia Inflantczyk, ur. w roku 1836, Bergmann aż do r. 1878 był profesorem uniwersytetu w Dorpacie. Pomimo tego jednak brał udział w kampaniach w r. 1866 i 1870/1 po stronie pruskiej i zebrał wówczas olbrzymi plon doświadczenia w szpitalach wojskowych, podobnie,



Smierć znakomitego chirurga: Profesor dr. Ernest Bergmann, dyrektor kliniki chirurgicznej w Berlinie.

jak w r. 1877 przy armii rosyjskiej, działającej w Bułgaryi.

W 1878 r. powołano go do Würzburga, a w cztery lata później ofiarowano mu po Langenbecku katedrę chirurgii i dyrektorstwo kliniki uniwersyteckiej w Berlinie.

Bergmann był nietylko znakomitym praktykiem — odznaczał się szczególnie na punkcie operacyj dotyczących mózgu — ale także bardzo płodnym pisarzem. Między innemi dzieło jego pod tyt.: „O chirurgicznem traktowaniu chorób mózgowych“ stanowi epokę w odnośnej literaturze.

Zmarły odznaczał się przy tem wielkiemi zaletami charakteru, dla których był powszechnie ceniony i posiadał niemały talent organizatorski, ujawniający się w życiu licznych stowarzyszeń zawodowych, których był albo założycielem, albo też członkiem.

Przed śmiercią, która dosięgła go w Wiesbadenie, poddał się z całą zimną krwią dwa razy ciężkim operacyom, jakich dokonano na nim bez uśpienia, ze względu na wiek podeszły i ogólne osłabienie. Ale i ten heroiczny środek nie zdołał znakomitego chirurga utrzymać przy życiu.

Nowa czytelnia w Łobzowie.

Stary Łobzów pod Krakowem zyskał świeżo ważny posterunek pracy w kierunku oświaty i umoralnienia ludu. Związek Pracy Narodowej założył tam czytelnię i bezpłatną wypożyczalnię. Otwarcie czytelni obchodziła cała wieś w sposób uroczysty.

Prócz licznego grona miejscowych obywateli przybyło wiele gości zaproszonych, do których w słowach podniosłych przemówił po poświęceniu lokalu ks. kanonik Błonarowicz. Mówca zwrócił uwagę na to, że Związek Pracy Narodowej jest stowarzyszeniem niepolitycznem i niezależnem od żadnego stronnictwa, założona więc przezeń czytelnia ma na celu jedynie oświatę. Po przemówieniu szanownego kapłana zabierali głos dwaj delegaci Związku: p. Janusz Dymek zachęcał Łobzowian do korzystania z nowego źródła nauki i wiedzy, a p. Michał Magiera w pięknym odczycie odmalował dwie najjaśniejsze postaci z naszych dziejów, najbliżej lud krakowski obchodzące — Kościuszkę i Głowackiego. Za trudy w rozbudzeniu życia umysłowego wśród mieszkańców Łobzowa dziękował serdecznie przedstawicielom Związku wójt Tomasz Buczak. Że Łobzowianie otoczą nową czytelnię gorącą opieką — zapewnił imieniem miejscowego obywatelstwa jej prezes p. Ludwik Lazar, którego główną zasługą jest powstanie czytelni zaopatrzonej w stokilkadziesiąt tomów książek treści historycznej, naukowej i rolniczej. Zaraz w pierwszym dniu zapisało się mnóstwo członków, których dziś Czytelnia liczy około stu. Co niedziela i co święto lokal zapełnia się miejscowem włościaństwem i dziatwą szkolną. Wszyscy są zadowoleni z moralnej rozrywki, jaka tu znajdują, a żywotność nowej instytucyi świadczy, jak bardzo była potrzebną w Łobzowie, w którym jedynie szynk stanowił dotychczas miejsce rozrywek. Lud tamtejszy z wdzięcznością zwraca się do członków zarządu Czytelni, który składają pp.: L. Lazar, prezes, Fran. Buczak, zastępca prezesa, Szymon Olas, sekretarz, oraz Leop. Pyrzowski, Fran. Kristl, Fran. Paprocki, W. Czapik i Kowalczyk, wydziałowi. Grupa którą zamieszczamy tutaj, przedstawia komitet uroczystego otwarcia Czytelni w Łobzowie.



Nowa czytelnia w Łobzowie: Wydział czytelni: 1. Ks. kanonik Błonarowicz. 2. p. Wanda Lazarowa. 3. Prof. Magiera. 4. Prezes p. Ludwik Lazar. 5. p. Janusz Dymek. 6. p. Olas. 7. p. Buczak. 8. p. Pyrzowski. 9. p. Kristl. 10. p. Kowalczyk. 11. p. Paprocki.

Rosyjski Torquemada.

Niejeden z mężów stanu zeszedł z tego świata obciążony przekleństwem współczesnych, ale chyba rzadko który wziął ze sobą na pielgrzymkę pozagrobową tyle złorzeczeń, co niedawno temu zmarły Konstanty Piotrowicz Pobiedonoscew.

Pobiedonoscew! W tem jednem słowie streszczał się cały system fanatycznego ucisku religijnego i politycznego, nieustępującego prawie owym „dawnym, dobrym czasom“, gdy sumieniami ludzkimi rządził taki Tomasz Torquemada. Dla Pobiedonoscewa poza prawosławiem nie było religii, po za Rosyanami nie było ludzi. Żelazna konsekwencya, z jaką starał się w życie wprowadzać swe zasady, zbudowane na fałszywych podstawach oraz „czyste ręce“ — rzecz tak rzadka w Rosyi — dawały mu ogromny wpływ w sferach najwyższych.

Urodzony w Moskwie 1827 roku Konstanty Piotrowicz ukończył naprzód seminaryum duchowne, a następnie szkołę praw w Petersburgu, poczem wstąpił do służby w moskiewskim departamencie rządzącego Senatu, wykładając równocześnie na

moskiewskim uniwertecie prawo cywilne. W 1860 roku powołany został na wychowawcę synów cesarza Aleksandra II. Stąd datuje się jego wielka zażyłość i wpływ nieograniczony, jaki wywierał na późniejszego cesarza Aleksandra III-go W ośm



Fałszywe bilety kolejowe: Walery Bełkowski. (Do artykułu na stronie 10)

lat później został senatorem, dalej członkiem Rady państwa, a wreszcie oberprokuratorem Synodu.

Na tem ostatniem stanowisku, jako „de facto“ świeckiego kierownika duchownej instytucyi, jego działalność odbiła się fatalnie na całem życiu religijnem Rosyi. Z jednej strony był zagorzałym zwolennikiem skostniałych form prawosławia, z drugiej — gnębił o ile się tylko dało, zarówno katolicyzm jak i protestantyzm, podciągając równocześnie narodowość pod religią.

Jako mąż wpływowy w najwyższych sferach był gorącym rzecznikiem reakcyi. Oczywiście ciosem zadanym mu wprost w serce był zwrot tych sfer ku innym, więcej liberalnym zapatrywaniom. Pobiedonoscew nie mógł długo przeżyć nadania Rosyi konstytucyi. Umarł takim, jakim był: puszczykiem, którego wschodzące słońce wolności oślepiało i dłużej nie pozwalało istnieć.

Runęła kamienica we Lwowie.

Niezwykła katastrofa wydarzyła się w ubiegłym tygodniu we Lwowie, katastrofa, która pociągnęła za sobą śmierć jednej osoby, poranienie trzech, a miejskiemu urzędowi budowniczemu, znanemu już i tak szeroko z nienajlepszej strony, przysporzyła znowu smutnej sławy.

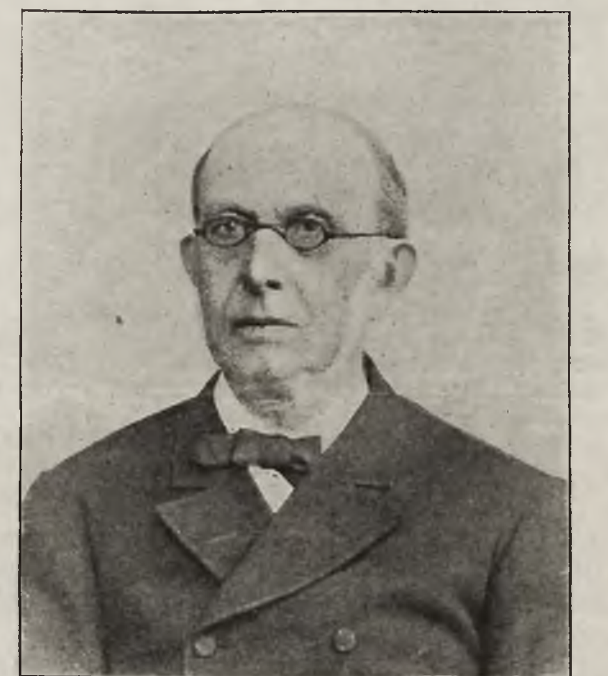
Oto we środę o godzinie 8 wieczór, przy ulicy Żółkiewskiej, w realności piętrowej l. 45, zawaliły się sufity od dachu do parteru, grzebiąc w gruzach mieszkańców parterowych ubikacyj i zasypując doszczętnie sień wjazdową i klatkę schodową. Tym sposobem kilka rodzin żydowskich z drobnemi dziećmi znalazło się odciętych od świata i wobec niebezpieczeństwa dalszego postępu katastrofy, nieszczęśliwi na pół nieprzytomni z przerażenia rzucili się do okien i rozpaczliwie wołali o pomoc. Tymczasem dostęp był prawie niemożliwy i grożący niebezpieczeństwem, bo zwisające belki pułapów i kawały tynku, pochylone ścianki działowe, groziły każdej chwili zawaleniem. Wreszcie przybiegł oddział pogotowia wojskowego z pobliskich koszar piechoty przy ulicy Zamarstynowskiej pod wodzą oficera inspekcyjnego i odciął kordonem krytyczne miejsce. W kwadrans przybył tren straży pożarnej z drabinami na miejsce wypadku, a w ślad za nim karetka pogotowia ratunkowego. Przystawiono drabinę do okna, ale kobiety wewnątrz nie mogły się odważyć na jej użycie: pompierzy musieli się ustawić w łańcuch na drabinie i z rąk do rąk podawali sobie zaskoczonych wypadkiem mieszkańców. W ten sposób ocalono z pośród gruzów ośmioro drobnych dzieci i kilka kobiet, z pośród których jedną omdlałą. Ponieważ resztki murów zwalonego domu groziły ciągłem niebezpieczeństwem, rozwalono mur parapetowy frontu kamienicy. Równocześnie zajęto się ratunkiem kilku osób, przysypanych rumowiskiem. Przy nadludzkich wysiłkach udało się wydobyć troje osób, które odniosły na szczęście dość lekkie obrażenia, jedna zaś z lokatorek nieszczęsnej kamienicy, starsza kobieta, służąca, zniknęła bez śladu.

Przez cały czwartek trwała praca nad prowizorycznem przynajmniej uprzątnięciem gruzów, oraz nad odszukaniem zwłok biednej kobiety i dopiero nad wieczorem zwłoki jej znaleziono.

Gruzy zawalonej kamienicy, rumowisko stąd powstałe, to nowy pomnik sławy lwowskiego miejskiego urzędu budowniczego. Katastrofie tej bowiem on w pierwszej linii winien. Dom był stary. Przed dwoma już laty, jak mówią, było niebezpieczeństwo zawalenia się. Właściciele umieli jednak „chodzić koło interesu“, połatano trochę dom i na dal ludzie w nim mieszkali. Przed paru tygodniami majster murarski Machnicki przeprowadzał rekonstrukcye. Podobno zrobił z dwóch pokoi małych, jeden duży i oczywiście z tego powodu zakładał trawersy. Czy rekonstrukcya ta była wadliwą do tego stopnia, że stary dom nie mógł dłużej wytrzymać, na razie niewiadomo. Niegdyś, jak wyrażają się fachowcy, runął obciążony mur działowy, a w następstwie tego strop i przerwały się wiązania dachowe. Belki dachowe i sufitowe były spróchniałe, gdy więc straciły podstawę, pękły i ciężarem swoim powiększyły rozmiary katastrofy.

Właściciel umiał chodzić koło interesu, więc urząd budowniczy niczego nie widział.

Zdjęcie fotograficzne zawalonego domu przy ul. Żółkiewskiej zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Rosyjski Torqemada: Świeżo zmarły K. P. Pobiedonoscew, były oberprokurator rosyjskiego Synodu.



Fot. B. Ebel Lwów.

Runęła kamienica we Lwowie: Rozbieranie reszty murów i poszukiwanie zwłok zabitej służącej.



Z rosyjskiej Dumy. P. Kruszewan — W. Kuzmin-Karawajew — Ks. P. Dołgorukow — M. Stachowicz — G. Petrow,

Z rosyjskiej Dumy.

W dzisiejszym numerze „Now. Ill.“ podajemy dalszy ciąg podobizn najwybitniejszych członków drugiej Dumy rosyjskiej. Wśród nich znajdują się posłowie następujący:

Pawolaki Kruszewan, z pochodzenia Rumun, poseł z miasta Kiszeniewa, znany organizator pogromów żydowskich w tem mieście, redaktor antysemickiego dziennika „Bessarabiec“.

Włodz. Kuźmin-Karawajew, właściciel dóbr w gubernii twerskiej, był posłem do pierwszej Dumy. Jego wniosek, aby zwrócić się wprost do ludu z zapytaniem, jak chce mieć uregulowane stosunki agrarne, był bezpośrednim powodem jej rozwiązania.

Książę Paweł Dołgorukow, członek stronnictwa „kadetów“, niegdyś marszałek dworu wielkiego księcia Sergiusza. W roku ubiegłym pozbawiono go dworskich godności za zbyt liberalne zapatrywania, oraz rzekomo za to, że miał agitować za granicą przeciw państwowej pożyczce rosyjskiej.

Michał Stachowicz, marszałek szlachty w gubernii orłowskiej, jest członkiem stronnictwa pokojowego odrodzenia, a uchodzi za znakomitego mówcę.

Grzegorz Petrow, duchowny prawosławny, ukończył naprzód seminaryum, następnie zaś akademię duchowną. Jeszcze jako student akademii urządzał wieczorami konferencye religijne, które ściągały mnóstwo słuchaczy. Następnie był nauczycielem religii w politechnice petersburskiej, w Michajłowskiej szkole artyleryi. Niezadługo jednak popadł w konflikt ze swą przełożoną władzą duchowną. Petrow posiada niepośledni talent publicystyczny, pracował w kilku dziennikach, a sam wydawał tygodnik p. t. „Bożja prawda“, który władze w roku ubiegłym zawiesiły. Napisał mnóstwo broszur treści politycznej i moralnej, rozchwytywanych w lot przez mieszkańców stolicy.



Z rosyjskiej Dumy: Typy wielkorosyjskich posłów włościańskich.

Jak wiadomo, synod zesłał go na pokutę do monasteru w Czeremieńcu, pomimo, że zupełnie legalnie został wybrany posłem do Dumy, obawiając się jego wpływu na posłów włościańskich.

Oprócz powyższych podobizn, podajemy także dwa ciekawe typy posłów ludowych, pochodzących z samego centrum Rosyi, a więc Wielkorosyan.

Dalsza rycina przedstawia Koło polskie posłów z Litwy i ziem ruskich, zebrane na posiedzeniu prywatnem w jednej ze sal Dumy, pod przewodnictwem posła Węsławskiego.



Z rosyjskiej Dumy: Koło polskie posłów z Litwy i ziem ruskich: 1. Prezes Węsławski 2. Putkamer. 3. Lisowski. 4. Hr. Łubieński, 5. Ks. Rodziewicz. 6. Benisławski. 7. Pilejko 8. Jaczynowski. 9. Chomiński. 10. Wańkiewicz. 11. Chełchowski 12. Dymsza. Fot A. Drankow z Petersburga.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

17 Ciąg dalszy.

Za cenę autonomii, pozbycia się nas, pomogą nam wydusić socyalistów, lecz zachodzi ważne pytanie, czy dla nas lepiej mieć przeciw sobie garść socyalistów, a cały naród trzymać w ryzie, czy zgnieść socyalistów, a pobudzić cały naród przeciw nam, nie mając w dodatku żadnego upoważnienia do robienia ustępstw jakichkolwiek.

— Tak jest, pan ma słuszność — skinął głową Czerniejew — żadnych ustępstw dla Polaków. Jedno tylko ustępstwo religijne zrobił rząd i ile złego ono nam wyrządziło! Straciliśmy dziewięć dziesiątych prawosławnych w kraju przywiślańskim. Zresztą cała ta konstytucya Bułygina, to bardzo sprytny manewr, aby rząd miał czas wzmocnić swe siły.

— I jedynymi dobrymi politykami są socyaliści, którzy bojkotują wybory Bułyginowskiego zebrania stanów — uśmiechnął się von Plessen — większość poszłaby na lep obiecanek i dlatego powtarzam: bądźmy ostrożni ze socyalistami, nie lekceważmy ich pogróżek.

— Przesadna obawa — mruknął naczelnik — już jeśli na kim chcieliby się pomścić za urojone krzywdy, to na mnie, bo nie mogą sumiennie powiedzieć, aby im było znośnie w moich więzieniach — śmiał się — posłuch i kara, kara i posłuch, to najlepsze śledztwo.

— Przychylam się do zdania generała Tiszewa i pana naczelnika. Żadnych nadzwyczajnych środków ostrożności i ochrony dla osób wybitniejszych, zostawić zwykłe, a zażąda ktoś pomocy, to udzielić chętnie.

— Rozkaz jest rozkazem — rzekł Krasotin — lecz czy nie byłoby wskazanem, zabronić liczniejszych zbiegowisk na ulicach, aby tylko trzy osoby mogły stać na chodniku... nie pozwalać na żadne zgromadzenia, wiece i jak najusilniej śledzić i wyłapywać agitatorów.

— Zdaje się, że wszyscy zgadzamy się na te wnioski—a widząc potakujące miny, dodał — proszę zapisać i wydać stosowne rozkazy... Czy nie natrafiono na naczelników tej bandy? Na ich rząd rewolucyjny? Na ich komitety? kasy?

— Dotychczas nie schwytaliśmy — odpowiedział von Plessen — lecz jesteśmy na tropie. Ośmieleni swą niepochwytnością, zaczynają pisać... to dobry znak.

— Byłbym bardzo rad, gdybym mógł przedstawić którego z panów do awansu i nagrody za pochwycenie ich zarządu. Ajentom i szpiegom obiecać duże wynagrodzenie. Surowo zabronić pism anti-rządowych, a proszę nie zapominać — zwrócił się do Gołubiewa — aby każdy wątpliwy artykuł w gazetach był mi przedłożony, zabronić sprzedaży i przedruków pism rewolucyjnych rosyjskich, zalecić bezwzględną surowość sędziom i wojsko ma być gotowe na zawołanie... skończyłem — wstał z krzesła, skłonił się i wyszedł.

Powstali i jakkolwiek ukrywali przed sobą, odetchnęli jak po pozbyciu się ciężaru. Sekretarz zapisywał ostatnie polecenia, a generał Tiszew zapalając papierosa rzekł:

— Ot człowiek — wskazał oczyma na drzwi, za któremi zniknął Czerniejew — prawdziwy żołnierz, ze stali.

— To prawda — potwierdził Krasotin — i na wojnie tacy są nieocenieni.

— Alboż my tu nie prowadzimy wojny? - zaśmiał się generał.

— No tak — wmięszał się do rozmowy von Plessen — ale wojna wojnie nie jest równa. W tym kraju dyplomata zręczny miałby większe powodzenie, aniżeli wódz.

— Czy to krytyka? — spytał generał.

— Nie... to wspomnienie księcia Immeretyńskiego, ten umiał zażyć Polaków.

— No, już darujcie — rzekł naczelnik — książę miał łatwą grę po rządach żelaznych poprzedników.. a teraz wszystko się rozluźniło, inny wiatr wieje, podnoszą głowę socyaliści do współki z żydami i dla utrzymania powagi rządu są potrzebni tylko tacy jak generał Czerniejew.

— Ot, wy mądre słowo powiedzieli — chwalił Tiszew — nam trzeba tu tylko takich jak on. Bo i kto są ci socyaliści? Dziewięć dziesiątych żydów, a reszta to zbałamuceni młodziki. Żydów wyciąć, wypędzić, ot i spokój będzie w naszej Rosyi.

— Czyż naprawdę panie generale sądzi pan, że tylko żydzi chcą wolności? — spytał Krasotin.

— Nie chwytajże pan za słowa. Toż wolności chcą i liberały, sam znam liberałów, porządni ludzie, bogaci, ot kniaź Trubeckoj, ale co innego liberalny człowiek, a co innego socyalista zżydziały — i dumnym wzrokiem powiódł po słuchaczach.

— Istotnie różnica wielka — powiedział grzecznie von Plessen, zabierając się do wyjścia, gdyż i sekretarz skończył pisanie i w milczeniu naciągał rękawiczki.

Gdy von Plessen wraz ze sekretarzem byli na ulicy, pułkownik chcąc zatrzeć swoje krytyczne uwagi o Czerniejewie rzekł:

— Nasz stary ma tę wielką zaletę, że jest sprawiedliwy i szczery... takich więcej a szanowanoby nas tutaj.

— Macie słuszność Iwanie Iwanowiczu, nas tu mało szanują... bo i jacy to ludzie stoją na czele miasta, policyi teatrów, i innych instytucyi. Boją się nas, to prawda, ale ze strachem człowiek się otrzaska, a szacunek zostałby zawsze.

— Starego o ile wiem boją się, ale i szanują dla jego charakteru.

— Ale wasza prawda pozostanie prawdą... tu trzeba dyplomaty.

— Możeby się i przydał Pawle Pawłowiczu, ale lepszy zawsze i wódz i dyplomata.

— Jakże to rozumiecie? — przystanął.

— Rzecz prosta, on jest wodzem, a jego prawa ręka dyplomatą. Toż dzisiaj słyszałem waszą doskonałą charakterystykę Polaków i odprawę dana Tiszewowi. Tak postępuje tylko dyplomata.

Gołubiew nie potrafił ukryć swego wielkiego zadowolenia i odpowiedział z udaną skromnością:

— Człowiek robi, co może... a dobre słowo to i cała nagroda, której pragnę.

— Już wy sobie nagrodę sami obmyślicie — śmiał się von Plessen — macie szczęście u kobiet.

— Przesada Iwanie Iwanowiczu.

— Nie przesada... ot i teraz macie dwie prześliczne kobietki. Założyłbym się, że za trzy dni będziecie ich przyjacielem.

— Bardzo wątpię... najęły drogie mieszkanie.

— Więc potrzebują pieniędzy — zaśmiał się pułkownik.

— A teraz nie mam na to ani czasu, ani głowy.

— Na takie rzeczy zawsze znajdziecie czas.. i załóżmy się, że wy Pawle Pawłowiczu do trzech dni poznajomicie się z niemi. Jeśli moja prawda wy płacicie szampana, jeśli wam się nie uda, ja płacę. Cóż zgoda?

Udał, że się namyśla, ociąga, wreszcie rzekł z uśmiechem:

— Zgoda! — podał rękę. — Poznam się, czy nie, a wieczór z wami spędzę przyjemnie.

Podpułkownik von Plessen pożegnał się zadowolony, że swą rozmową i zakładem zatarł w pamięci Gołubiewa swój poprzedni sąd o Czerniejewie, a sekretarz z uśmiechem dumy rozmyślał o swej dobrej opinii, jako zdobywcy względów kobiet. O zrobionym zakładzie nie zaniedba von Plessen rozgłosić wśród wspólnych znajomych, wszyscy będą ciekawi kto wygra? A przecież nie ulega żadnej wątpliwości, że poznanie dwóch samotnie mieszkających panien nie nastręcza wiele trudności. Zapisały się jako panny, co oznacza, że nie są zamężne, a więc wolno starać się o ich względy.

Wszedł do swego mieszkania, aby się przebrać i spojrzał w przeciwległe okna, jako na miejsce swego nowego tryumfu. Po przez spuszczone story przeświecało jasne światło, stał przez chwilę wpatrzony, gdy dojrzał na storze cień przechodzącego przez pokój mężczyzny. Na razie się zachmurzył, ale po chwili uśmiechnął się i szepnął:

— Takie to i panny.. jutro wygram zakład.

Obowiązki urzędowe Gołubiewa, jako sekretarza nie były znów tak bardzo uciążliwe, jak to sam głosił. Wstawał około dziewiątej rano, a po śniadaniu i starannej tualecie szedł do biura o jedenastej. W biurze jego pracowało dziesięciu podwładnych, a po jego przyjściu naczelnik kancelaryi zdawał mu sprawę z wykonanych i wykonać się mających rozkazów, przedkładał nadesłane raporta i wręczał nierozpieczętowane sekretne listy. O godzinie dwunastej szedł z raportem do generała Czerniejewa, przeglądał spis osób przychodzących z prośbami do generała, ustanawiał liczbę przyjęć, usuwał wątpliwych lub tych którzy mu się nie podobali i po skończonej audyencyi, o ile były sprawy nagłe z innemi zarządami, załatwiał je stosownie do ważności telefonicznie, albo też na piśmie i wychodził z biura najpóźniej około drugiej. Popołudniu ważniejsze akta, świeżo nadesłane przysyłał mu do domu naczelnik kancelaryi. Tę pracę biurową spełniał on, dzięki długoletniej praktyce obojętnie, niemal mechanichnie, nie wkładał w nią ducha, bo z jednej strony wyręczał go naczelnik kancelaryi i drobnostkowe przepisy postępowania formalnego, z drugiej rozkazy generała Czerniejewa. Sekretarz Gołubiew nudził się też często i szukał rozrywki, a ponieważ pobudliwość płciowa była w nim znacznie rozwinięta, więc i jego myśli i pożądania obracały się w kole kobiet, które zrobiły na nim wrażenie.

Nowe sąsiadki i zrobiony zakład były też dla niego miłą i pożądaną rozrywką w jednostajnem życiu. Zbudziwszy się ułożył plan kampanii, a więc najpierw przyjrzy się im dokładnie i stosownie do nadarzonej sposobności, albo zaznajomi się z niemi na ulicy, albo pójdzie wprost z wizytą do nich, a uważał siebie za zbyt doświadczonego i sprytnego, ażeby tej sprawy nie przeprowadził zręcznie i pomyślnie.

Już po śniadaniu widział jak otwierały okna, podlewały kwiaty, krzątały się po pokojach, a gdy kończył tualetę swoją, dojrzał, że i sąsiadki są gotowe do wyjścia.

Tak pomyślnej okoliczności nie chciał opuścić i wyszedł z mieszkania o kwadrans wcześniej, jak zazwyczaj. Nie czekał zbyt długo, gdy przez bramę od ulicy Chmielnej wyszły obie, kierując się w stronę Marszałkowskiej. Przyspieszył kroku i badawczo oceniał ich wygląd. Jako znawca kobiet osądził, że one nie należą do tego gatunku panien, które się łatwo zdobywa pieniądzmi lub prezentami. Z ich skromnego a wykwintnego ubrania, z ruchów, spojrzeń, chodu, przebijał się brak wszelkiej kokieteryi, chęci zwrócenia uwagi na siebie i pewien gatunek dumnej czystości moralnej, nie dozwalającej na poufałość zbliżenia się.

Gołubiew odrzucił taktykę zaczepną i zamiar poznajomienia się na ulicy, postanowiając wpierw przyjrzeć się im dokładnie.

Wanda ze swem śmiałem spojrzeniem, z energią, rysującą się w twarzy, ze swą dziewczęcą figurą i jeszcze nie w pełni rozwiniętemi kształtami, nie wydała mu się tak bardzo ponętną, jak Logika. Jej twarz spokojna, z łagodnym uśmiechem, harmonijne ruchy, bujne włosy i zgrabna figura, podobały mu się bardzo. Postanowił ją zdobyć, a im bardziej szczegółowo jej się przypatrywał, tem większe wzrastało pożądanie.

Na rogu Marszałkowskiej rozdzieliły się, Wanda poszła ku Alejom Jerozolimskim, Logika dalej Chmielną w kierunku Twardej.

Gołubiew doznał uczucia zadowolenia, że Logika jest samą, to ułatwiało znacznie poznanie i przemyśliwając, w jaki sposób sprowadzić takie okoliczności, aby się mógł zbliżyć, szedł tuż za nią.

Logika obróciła się nieznacznie raz i drugi, a widząc idącego za sobą, przeszła na drugą stronę ulicy. To samo zrobił po chwili Gołubiew. Przyspieszyła kroku, gdyż podejrzywała w Gołubiewie szpiega i nie odwracając się skręciła w Sosnową ulicę. Teraz już umiała odróżnić odgłos kroków śledzącego ją, czuła go tuż za sobą.

Nie było mowy, aby poszła w umówione miejsce i oddała broszury i odezwy, które miała przy sobie, szło o to, aby zmylić szpiega zręcznie, a zbyt wielkim pośpiechem nie narazić się na aresztowanie. Zwolniła kroku, to samo zrobił Gołubiew. Dziwny szpieg, pomyślała sobie, idzie tak bezczelnie i widocznie za mną, jak gdyby mnie chciał ostrzedz...

A może czeka na patrol, aby mnie zaaresztować! Na tę myśl zrobiło się jej gorąco, gdyż na wychodnem odebrała list od Figury, zawiadamiający ją, gdzie czekają jej przybycia towarzysze.

Jeśli ją zaaresztują, odczytają ten list i policya pochwyci zebranych. Wyrzucając sobie ostro swą nieostrożność, wyjęła list z kieszeni i poczęła skrycie drzeć go w drobne kawałeczki; bała się jednak rzucić je, aby śledzący nie powziął podejrzenia. Wreszcie tak ją rozdrażniło to niemiłe położenie, że przyszedłszy na róg Siennej wsiadła do dorożki i kazała się wieść w stronę przeciwną od miejsca, do którego szła, a więc na Krakowskie Przedmieście.

W tej samej stronie było właśnie biuro, do którego spieszył Gołubiew i wsiadłszy również do dorożki podał adres.

Logika jechała kilka kroków przodem, a tuż za nią dorożka z Gołubiewem i teraz miała możność przypatrzenia się swemu prześladowcy. Znała dosyć szpiegów i ajentów, ale ten wydał się jakiś

inny, wpatruje się w nią, oczu nie spuszcza, nawet coś jakby uśmiech.. ale jedzie w ślad za nią. Gdy Logika była w pobliżu Zjazdu, obejrzała się, drugiej dorożki nie było za nią; odetchnęła, jednak dla pewności kazała jechać na Plac teatralny i tu dopiero uspokojona wysiadła.

Gołubiew byłby chętnie pojechał za nią dalej, lecz pora była spóźniona i musiał iść do biura. Zły był z tej przerwy, pocieszał się tylko tem, że tak dalece poranku nie stracił; najpierw przyjrzał się im z bliska, następnie czas jakiś śledził ją i przy spotkaniu powie jej, jak dalece jest nią zachwycony, gdy mimo spóźnienia do biura szedł za nią tak długo; w myśli układał cały dyalog, widział już jej miłe zdziwienie, następnie poprosi ją do teatru albo cyrku, naturalnie po przedstawieniu kolacyjka w gabinecie... a gdyby dziś nie mogła, to jutro...

Oczywista rzecz, że trzeba złożyć wizytę, namyślał się chwilę w jakiem ubraniu, wreszcie zdecydował się, że w garniturze spacerowym.

Godziny urzędowe wlokły się w nieskończoność, a gdy zobaczył długi spis osób, proszących o audycencye, tak się rozgniewał, że połowę skreślił z miejsca i podwładnemu urzędnikowi polecił, aby skreśleni odeszli.

Po chwili wszedł podwładny, niski, zgarbiony, łysawy blondyn i meldował:

— Stosownie do rozkazu, odprawiłem przekreślone osoby... jedna z nich nie chce ustąpić, mówi, że trzeci raz zostaje odprawioną. Czy mam użyć siły?

— Powinno wystarczyć słowo, ale panu brakuje odwagi — zmierzył lekceważąco podwładnego — jak się nazywa owa osoba?

— Gwalberska.

— Już wiem — i poszedł wprost do przyległej audencyonalnej sali, obwieszonej portretami panującej rodziny i lustrami w szerokich, złotych ramach.

W jednym rogu stali wybrańcy, dopuszczeni do audyencyi, a kilka kroków przed tą grupą blada Gwalberska w czarnej sukni.

Sekretarz podszedł do niej krokiem urzędowym i spytał ostro po rosyjsku:

— Czy słyszała pani, że dziś nie będzie pani przyjęta?

— Ależ panie naczelniku, jestem już czwarty raz... zlituj się pan, tam mój syn chory...

— Cóż mnie obchodzi syn pani... wyjdź pani natychmiast.

— Pana nie obchodzi, ale ja jestem matką, on chory, we więzieniu, bez opieki.

— I zapewne niewinny, jak zawsze — drwił, a surowiej dodał — idź pani! — i wskazał jej drzwi.

— Ustąpię przed siłą! — i popatrzyła mu w oczy z taką pogardliwą nienawiścią, że aż cofnął się o krok.

Spojrzał po obecnych i zdawało mu się, że wszyscy drwiąco patrzą na niego, że on taki wysoki urzędnik z jedną kobietą nie może sobie dać rady.

Obraziło to jego dumę jako urzędnika i nasrożywszy się, zawołał zbyt głośno:

— Precz ze sali!

— Nie pójdę; muszę prosić pana generała.

Na ten hałas otwarły się cicho drzwi boczne i wyjrzała surowa twarz Czerniejewa.

— Co to znaczy? — spytał głuchym głosem.

— Panie generale, czwarty raz przychodzę z prośbą..

— Cicho, nie pytam panią — nachmurzył się i zwracając się do Gołubiewa, spytał: — O co idzie?

Ten zbliżył się i tonem urzędowym wyrecytował:

— Nie chciałem pozwolić, aby trudziła waszą ekscelencyę niepotrzebną prośbą.

— Jaką?

— O syna uwięzionego.

— Socyalista?

— Tak jest.

— Dobrze pan zrobiłeś.. idź pani!

— Ależ on chory, opuszczony...

Przez chwilę zamigotało w oczach jego coś w rodzaju współczucia, wspomniał swą żonę, dzieci, ale trwało to mgnienie oka, oczy patrzały znów zimno, surowo.

— Próśb za socyalistami nie przyjmuję.

— Ależ on młody, dziecko...

— Dosyć tego! — zawołał i zniknął jej za drzwiami.

Gołubiew tryumfował i zgnębionej kobiecie wskazał drzwi.

Podniosła swe oczy, błyszczące gorączką rozpaczy i szepnęła ledwie dosłyszalnie:

— Podły.

Wprawne jego ucho dosłyszało a raczej dorozumiało się co powiedziała, pobladł i gdy za nią zamykały się drzwi, on szybko poszedł do swego przybocznego pokoju i rzekł do podwładnego urzędnika:

— Gwalberską, która idzie po schodach teraz, przyaresztować i na trzy dni do więzienia zamknąć za niewłaściwe zachowanie się... Spiesz się pan!



Na ten hałas otwarły się drzwi boczne i wyjrzała surowa twarz Czerniejewa.

Spojrzał na niego trochę zdziwiony tą surowością, lecz spełnił polecenie.

Nareszcie minęły godziny urzędowania i po smacznym obiedzie poszedł do swego mieszkania. Patrzał w okna przeciwległe i zdawało mu się, że one są w domu; postanowił nie odkładać wizyty. Przejrzawszy się w lustrze, poprawiwszy fryzurę, wyelegantowany, z laseczką w ręku, poszedł i zadzwonił do przedpokoju.

Otworzyła mu służąca młoda, której spytał bardzo grzecznie:

— Moja panienko, czy panie przyjmują? — i wszedł do przedpokoju dość jasnego.

— Niema pań.

— Wyszły?.. Jaka szkoda! Kiedyż wrócą?

— Nie wiem.

— Dobrze ci tutaj? Dawno służysz?

— Od kilku dni.

— Powiedz mi panienko — wyjął z portmonetki rubla i podał go dziewczynie — czy panie bawią się wesoło? Dużo bywa u was mężczyzn?

Ten rubel i pytania wzbudziły nieufność Stasi, siostry Młota, będącej również towarzyszką. Odsunęła rubla i rzekła szorstko:

— Pań niema, rubla nie potrzebuję i na podobne pytania nie odpowiadam.

— Nie gniewaj się panienka, dam trzy ruble... powiedz mi, która z nich panna Ewa, a która panna Wanda?

W tej chwili stanęła w progu Wanda, a widząc obcego, spytała:

— Czego pan sobie życzy?

Gołubiew skłonił się głęboko i rzekł z miną pewną siebie:

— Przyszedłem złożyć moje uszanowanie.

— Pan? — zdziwiła się.

— Czyż panią to tak dziwi, że sąsiad z naprzeciwka składa wizytę tak pięknym „vis-á-vis-som“.

Wanda zarumieniła się, zabłysły gniewem jej oczy i rzekła porywczo:

— Stasiu, otwórz drzwi temu panu!

Stasia pospieszyła spełnić ten przyjemny dla niej rozkaz, lecz Gołubiew zakrył sobą klamkę i rzekł z uprzejmym uśmiechem:

— Po co te gniewy? Czy zasłużyłem na to? Przychodzę gotowy do usług na rozkazy pani, a spotyka mnie taka szorstka odmowa.

— Zabierz Stasiu te rzeczy — wskazała na wieszadła — i chciała wyjść zostawiwszy tego pana w przedpokoju.

— Zwolna pani, zwolna — uśmiechnął się z przymusem — ja nie przyszedłem z wizytą do pani, lecz do jej przyjaciółki, którą znam.

— Niema jej w domu — przypomniawszy sobie jednak jego poprzednie słowa spytała szybko: — a nazwisko mej przyjaciółki?

Gołubiew chwilę się namyślał, wreszcie odpowiedział:

— Panna Ewa Ogniewska.

Wandę opadły wątpliwości: a jeśli to naprawdę znajomy Logiki. Żałowała swej porywczości i już tonem grzeczniejszym, jak jej się zdawało, dodała:

— Niema jej...

Gołubiew tryumfował, że odgadł nazwisko i dodał głosem prośby:

— Pozwoli pani, że zaczekam...

W tem milcząca dotychczas Stasia odezwała się:

— Ten pan dawał mi trzy ruble, ażebym mu powiedziała, jak się nazywa która z pań. On nie zna panny Ewy, to jakiś szpicel chyba.

— Chodźmy Stasiu — zawołała Wanda i zatrzasnęła drzwi za sobą i za Stasią.

Gołubiew chwlę stał, dławiła go złość i oburzenie; jak to, jego, sekretarza generał gubernatora jakaś dziewczyna śmiała tak potraktować?

Kipiał zemstą i gniewem, wyszedł z przedpokoju na schody blady, z ustami zaciśniętemi, oprzytomniał dopiero na ulicy ze swej pasyi.

Nie będzie ta, będzie druga, uśmiechnął się gorzko, ale ja cię nauczę grzeczności. Podpułkownik von Plessen wspomniał, że Ewa Ogniewska jest notowana w ochranie, ale nic nie wiadomo o Wandzie Balkowskiej... Nic? ale od czego jest policya, która pilnuje moralności i dobrych obyczajów? Ta Balkowska nie wiadomo z czego żyje, a mieszka na pierwszem piętrze, trzyma służącą, ubiera się dobrze, nawet elegancko i przyjmuje mężczyzn wieczorami, to wyjaśnia całą zagadkę dobrobytu, zaśmiał się złośliwie.

A może to Ogniewska posiada majątek a Balkowska jest jej towarzyszką?

Pamiętał adres poprzedniego mieszkania Logiki, skinął na dorożkę i kazał się wieźć na ulicę Złotą.

Tu dowiedział się, że Ewa Ogniewska mieszkała w oficynie na trzeciem piętrze, a stróżka jej usługiwała, zatem rzecz jasna, iż Balkowska namówiła Ewę, aby z nią mieszkała i ona łoży na mieszkanie. Z uczuciem ulgi i zadowolenia uśmiechnął się i mruknął.

— Zemsta jest słodką!

Dorożkarzowi rozkazał jechać do gmachu policyi.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Na południowo-wschodnich kresach Rosyi: Typ Turkiestańczyka.



Na południowo-wschodnich kresach Rosyi: Gruziniec chrześcijanin.



Na południowo-wschodnich kresach Rosyi: Wielbłądy jako zwierzęta juczne.

Na południowo-wschodnich kresach Rosyi.

Rosya, rozszerzając swe granice w ciągu dwóch wieków, wchłaniała w siebie ludy najrozmaitszego pochodzenia, wyznania i o rozmaitych stopniach kultury. Przytem celem rządu rosyjskiego w przeciągu tego długiego czasu, celem, do którego dążył uparcie, była zupełna rusyfikacya wszystkich tych ludów.

Są jednak rzeczy niemożliwe do wykonania, nawet przy użyciu najbrutalniejszej siły, najdalej sięgającej bezwzględności. Do nich należy: wynarodowienie. Naród, choćby najmniejszy, siłą nie da się wynarodowić. Że twierdzenie to jest słusznem pokazuje się stąd, jak marnymi są rezultaty dotąd osiągnięte przez rusyfikacyę. Ani Polacy, ani Niemcy w prowincyach nadbałtyckich, ani Rusini, ani Tatarzy, ani wszystkie ludy zamieszkujące Kaukaz, Turkiestan itd. — nie wyrzekły się swej narodowości, swego języka, swej religii.

Co się tyczy tych ostatnich ludów, to zauważyć trzeba, że Rosya postępowała z nimi z niesłychaną srogością od bardzo dawnych czasów, a pomimo, że miała nad nimi, bądź co bądź, przewagę kultury i tak ich nie zdołała przemienić na Rosyan.

Dopóki Rosya posiadała urok jakiegoś mocarza, który zdawał się być nie do zwalczenia, na dalekich jej krańcach południowo-wschodnich wszystko, przynajmniej na pozór, wydawało się spokojnem. „Żelazna ręka“ jaka tam tradycyjnie rządziła, robiła swoje. Lecz cóż — nadeszła wojna rosyjsko-japońska, a kolos jeżeli nie runął — to przynajmniej chwieje się bardzo silnie w swoich podstawach.

Ludom azyatyckim otwarły się oczy. Duch wolnościowy, wstrząsający podwalinami państwa rosyjskiego, przeniknął do jego najdalszych krańców. Pozornie drzemiące we wschodniej apatyi ludy budzą się do nowego życia. Szczególniejszym objawem jest, obok rodzących się teraz aspiracyj polityczno socyalnych, wielki ruch panislamistyczny, który ogarnia ludy rosyjskiemu berłu podległe, a zamieszkałe na Kaukazie, w kraju Zakaukaskim, oraz w Azyi centralnej. Ruch ten nie jest wprawdzie czemś zupełnie nowem, ponieważ początki jego sięgają lat trzydzieści wstecz, to jest do czasów wojny turecko-rosyjskiej, poczem rozżarzył go szczęśliwy dla Turcyi wynik wojny z Grecyą, jednak miał dotąd wpływ niewielki na poddanych rosyjskich. muzułmanów. Dziś sytuacya się zmieniła. Wśród wyznawców Proroka wre, agitatorzy przeciągają po kraju, tysiączne pisma ulotne treści politycznej są w obiegu, gotuje się tam coś nowego.

Krótko powiedziawszy, rosną na tych kresach z dnia na dzień nowe żywioły opozycyjne, które ze względu na rozległość krain, na bitność ludów je zamieszkujących, oraz ze względu na ich nienawiść do wszystkiego, co ma związek z kulturą europejską, mogą wkrótce stać się groźnymi dla Rosyi.

Najwięcej kłopotu od wieku niemal sprawia jej Kaukaz, którego podbicie kosztowało ją setki milionów rubli i nieobliczone dotąd straty w ludziach. I teraz wre burza w górach Kaukaskich i w kraju Zakaukaskim, liczącym 10 milionów mieszkańców: Czerkiesów, Gruzinów, Ormian, Tatarów itd. Gdyby nie różnica pochodzenia i wyznania — jedni są chrześcianami inni muzułmanami — dawnoby już ludy te zrzuciły z siebie jarzmo rosyjskie.

Sądzimy, że nie bez interesu będą dla naszych Czytelników ciekawe zdjęcia z okolic, o których wyżej mówiliśmy. Jedno z nich przedstawia typ bogatego Gruzińca chrześcijanina z okolic Tyflisu, drugie — grajków perskich z tegoż miasta, trzecie — wielbłądy użyte jako zwierzęta juczne, czwarte — chłopców tatarskich z Baku, piąte — typ mieszkańca Turkiestanu, szóste wreszcie typowy wóz dwukołowy tatarski, zwany „arbą“.



Na południowo-wschodnich kresach Rosyi: Grajkowie perscy w Tyflisie.

Ratunek rozbitków.

Niebezpieczeństwa, związane z morską podróżą, zwiększają się stosownie do pory roku: najsilniejszemi są na wiosnę i jesienią. Szczególniej obecna wiosna obfituje w katastrofy morskie koń-

cące się nieraz bardzo tragicznie, jak np. z parowcem „Berlin“.

Czasem jednak szczęśliwy zbieg okoliczności pozwala uratować podróżnych i załogę, skazanych o ileby się zdawało, na śmierć niechybną. Oczywiście, że odwaga nadbrzeżnej straży ratunkowej, oraz zimna krew ratowanych, odgrywają wielką rolę w podobnych razach.

Takiemu właśnie szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczają pasażerowie i załoga angielskiego statku „Jebba“ swe ocalenie. Parowiec ten, płynąc z Afryki zachodniej do Anglii, utonął na skalistych wybrzeżach Kornwalli. Dzięki bacznej uwadze straży nadbrzeżnej, spostrzeżono na czas niebezpieczeństwo i urządzono połączenie za pomocą liny z zagrożonym statkiem. W ten sposób uratowano wszystkie 160 osób, jakie się na nim znajdowały. Ratunkowi sprzyjała i ta okoliczność, że morze, chociaż było bardzo wzburzone, nie miało jednak charakteru rozszalałego żywiołu, jak to było pod Hoeck van Holland, gdzie sto kilkadziesiąt ludzi znalazło śmierć w falach morza Północnego skutkiem rozbicia się „Berlina“.

Nowy dyrektor.

Nieczęsto się zdarza, by czyjaś nominacya na jedną z ważniejszych posad, czy to w służbie państwowej, czy krajowej, lub gminnej, nie wywoływała ujemnych komentarzy, boć trudno wszystkim dogodzić. Z tem większem zadowoleniem zaznaczyć nam przychodzi, że w ostatnich dniach ogłoszona nominacya prof. dra Ernesta Bandrowskiego, na dyrektora państwowej Szkoły przemysłowej w Krakowie, spotkała się z zupełnem uznaniem jego kolegów zawodowych i całego społeczeństwa, a przez uczniów tejże szkoły została przyjęta z radością. Fakt to pocieszający i wróżący dobrze o dalszym rozwoju Szkoły przemysłowej, którą przez szereg lat tak znakomicie kierował śp. Rotter.

Nowy dyrektor, osobistość bardzo wybitna o wypróbowanym charakterze i o niemałych zasługach obywatelskich, człowiek bardzo miły i przystępny, liczy lat 54. Szkoły średnie i uniwersytet ukończył we Lwowie, poczem, jako stypendysta funduszu krajowego, studyował zagranicą chemię, między innemi pod znakomitym polskim uczonym Marcelim Nenckim w Bernie szwajcarskiem; w Paryżu słuchał wykładów świeżo zmarłego Berthelota. Powróciwszy do kraju, zdał w 1877 roku doktorat z chemii, jako przedmiotu głównego.

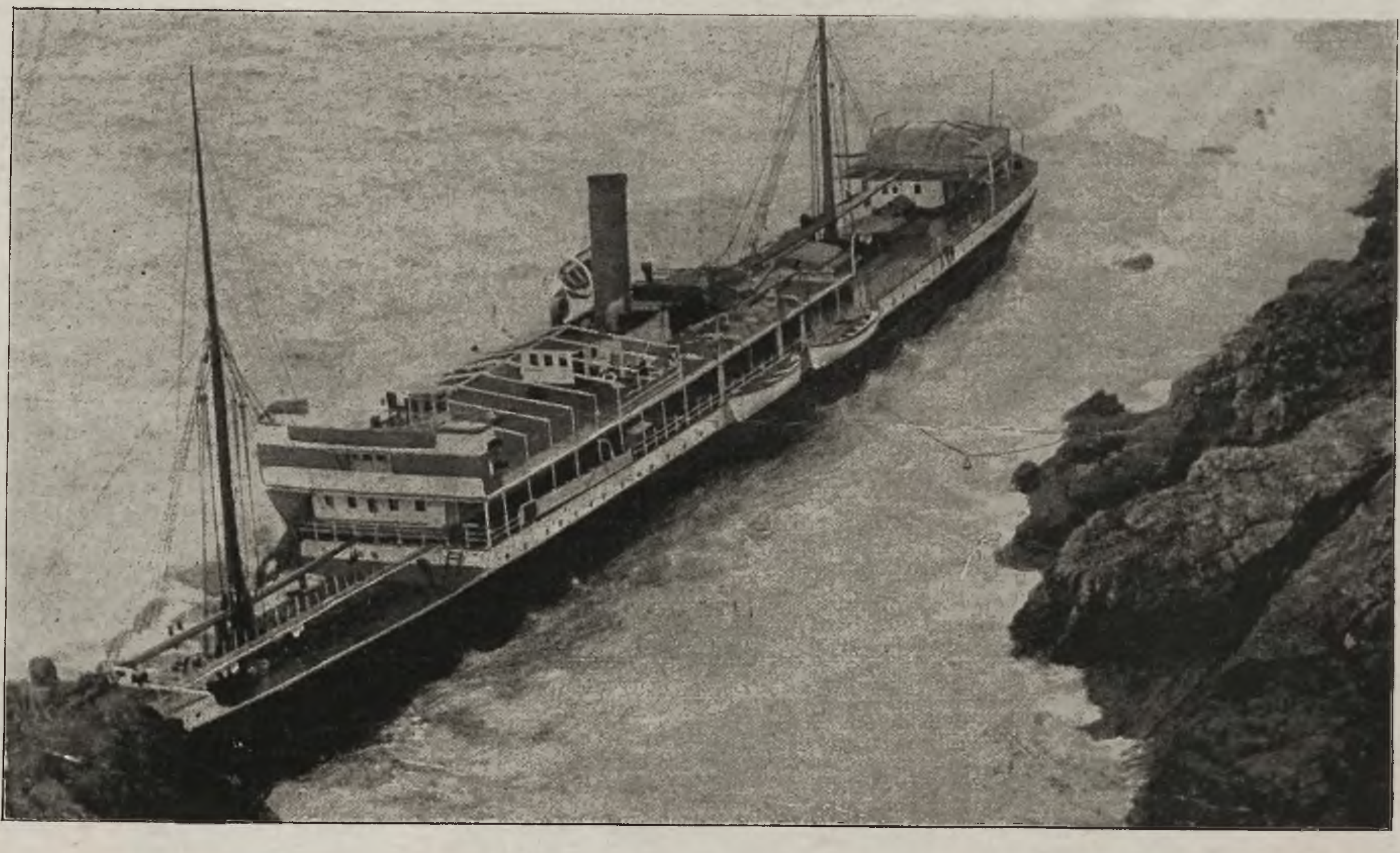
Wkrótce potem mianowano go nauczycielem chemii ogólnej i analitycznej w b. Instytucie techniczno-przemysłowym w Krakowie, gdzie po kilku latach został przełożonym wydziału chemii technicznej, na którem to stanowisku do ostatnich czasów pozostawał, po przekształceniu Instytutu na c. k. państwową Szkołę przemysłową. W tym czasie otrzymał także „veniam legendi“ z chemii ogólnej na Uniwersytecie Jagiellońskim, w 1896 roku zaś tytuł nadzwyczajnego profesora tegoż Uniwersytetu.



Na południowo-wschodnich kresach Rosyi: Chłopcy tatarscy z Baku.



Na południowo-wschodnich kresach Rosyi: Wóz tatarski.



Ratunek rozbitków: Straż nadbrzeżna ratuje za pomocą liny podróżnych i załogę statku »Jebba«, który osiadł na mieliźnie u brzegów Kornwalii.

Dyrektor Bandrowski pełnił także od r. 1898 przez lat ośm funkcye kierownika krakowskiej wyższej Szkoły handlowej, przyczem znakomicie podniósł jej poziom.

W nagrodę licznych bardzo prac naukowych krakowska Akademia Umiejętności powołała dyr. Bandrowskiego do swego grona, jako członka korespondenta. Prac tych dokonał on mnóstwo, pomieszczając je albo w fachowych czasopismach niemieckich, albo też w sprawozdaniach krakowskiej Akademii.

Niespożytą jednak zasługą nowego dyrektora jest napisanie pomnikowego, jedynego w polskim języku dzieła, poświęconego całokształtowi chemii, którego tom pierwszy pt. „Wykład chemii nieorganicznej“, wyszedł już w drugiem wydaniu, a którego tom p. t. „Wykład chemii organicznej“ znajduje się pod prasą.

Obywatelska działalność dyr. Bandrowskiego zaznacza się jego wydatną pracą w krakowskiej Radzie miejskiej, do której należy od ćwierć wieku i gdzie wiernie stoi przy sztandarze stronnictwa demokratycznego oraz w Towarzystwie Szkoły Ludowej, którego energicznym prezesem jest od lat dziesięciu, pracując gorliwie nad rozwojem tej w tak wysokim stopniu pożytecznej instytucyi. Nawet władze centralne oceniły działalność dyr. Bandrowskiego, skoro w 1898 ozdobiony został kawalerskim krzyżem orderu Franciszka Józefa.



Nowy dyrektor: Dr. Ernest Bandrowski, świeżo mianowany dyrektorem krakowskiej szkoły przemysłowej, w swem laboratoryum chemicznem.

Bomba w Warszawie przy ul. Grzybowskiej.

Krwawy szereg napadów bandyckich, mordów partyjnych, egzekucyj na stokach cytadeli, wybuchów bomb i strzałów żołnierskich, nie przerywa się na chwilę w nieszczęsnej Warszawie. I znów przed kilku dniami zaszedł tam zgrozą przejmujący wypadek wybuchu bomby, który tak dosadnie ilustrują podane w dzisiejszym numerze zdjęcia, dokonane na miejscu w kilka chwil po fakcie dokonanym.

Sprawa tego najświeższego wybuchu przedstawia się w ten sposób:

W domu pod Nr. 26, przy ulicy Grzybowskiej, mieści się na dole kancelarya Szkoły rzemieślniczej, którą utrzymuje gmina wyznaniowa żydowska. W dniu krytycznym, tj. 26 marca, odbywała się w gabinecie dyrektora Szkoły, p. Halperna, narada celem rozdziału drobnych zapomóg świątecznych pilnym a ubogim uczniom, a brali w niej udział — oprócz zarządu Szkoły — także majstrowie instruktorzy. W tem zapukano do drzwi kancelaryi. Jeden z obecnych, nie podejrzywając nic złego, drzwi otworzył.

Wówczas wtargnęło do wnętrza ośmiu młodych ludzi. Zwyczajem bandyckim krzyknęli: „Ręce do góry!“ i zmierzyli lufy rewolwerów do obecnych. Nie wszyscy jednak z pomiędzy nich stracili przytomność umysłu, jeden z majstrów, Julian Fordzik, sam zmierzył się swym rewolwerem do bandytów. Zanim jednak zdołał strzelić, został ciężko zraniony przez jednego z napastników. Następnie bandyci, spłoszeni tem, że z sąsiedniej sali na odgłos strzałów wpadło kilkunastu wychowanków Szkoły, którzy tam oczekiwali na zapomogi, uciekli, przedtem jednak zranili drugiego majstra Mierzejewskiego.

Rzucono się za nimi w pogoń. Pierwszy gonił, Muszkat kasyer i buchalter warsztatów Szkoły; za nim biegł Owczarek, jeden z uczniów. W chwili, gdy chwytali, jak im się zapewne wydawało, jednego z bandytów, tuż u bramy domu, nastąpił straszny wybuch bomby, którego obaj padli ofiarą.

W bramie stało kilku uczniów Szkoły i kilku nędzarzy, oczekujących także na wsparcie świąteczne. Ich również wybuch nie oszczędził. Gdy rozszedł się dym, wybuchem spowodowany, wywlókł się na ulicę człowiek, krwią broczący, domniemany sprawca zamachu, niejaki Hersz Silber-



Bomba przy ulicy Grzybowskiej w Warszawie: Brama domu Nr. 26 w chwili po wybuchu bomby.



Bomba w Warszawie przy ulicy Grzybowskiej: Hersch Silbergold, domniemany sprawca wybuchu.

gold. Hukiem wybuchu zwabieni żandarmi z pobliskich koszar natychmiast dom pod nr. 26 otoczyli i owego domniemanego sprawcę aresztowali.

Oprócz dwóch ofiar na miejscu zabitych i Silberlgolda, jeszcze dziesięć osób odniosło rany, z tego dwie od strzałów bandyckich, a ośm od odłamków bomby. Obok zwłok nieszczęśliwego Muszkata znaleziono drugą bombę, która nie wybuchła.

Silbergold z ran i pobicia już zmarł; stan Fordzika jest beznadziejny. Inny podejrzany raniony mężczyzna znajduje się w więzieniu w ratuszu.

O ile się zdaje, w tym wypadku zeszły się bez premedytacyi: napad bandytów z planowanym zamachem politycznym. Mianowicie miano dokonać zamachu na gen. Utkowa, który właśnie odbywał przegląd dywizyonu żandarmskiego, zajmującego koszary o kilka domów dalej od domu nr 26. Gen. Utkow jest pomocnikiem gen. gubernatora.

Prawdobodobnie stało się tak, że Silbergold oczekujący w bramie domu, nr. 26, na gen. Utkowa, potrącony przez jednego z uciekających bandytów, upuścił bombę, która tak straszne poczyniła wśród ludzi spustoszenia. Z chwilą jego śmierci, policyi zapewne nie uda się, jak zwykle, schwytać jego wspólników. Natomiast bandyci zostali ujęci, lecz wypierają się wszelkiego współudziału w zamachu Silbergolda.

Pomiędzy rannymi znajduje się dwóch uczniów wymienionej Szkoły lat 14 i 15, z których jednemu wybuch bomby strzaskał nogę a drugiemu rękę; zranioną także została uboga żydówka, która z niemowlęciem oczekiwała na zapomogę świąteczną. Muszkat osierocił żonę z pięciorgiem dzieci i 86-letnią matką, która w nim straciła jedynaste z rzędu dziecko....



Bomba w Warszawie przy ulicy Grzybowskiej: Władze sądowo-policyjne oglądają miejsce wybuchu i ofiary pod ochroną wojska. Na ziemi leży trup Muszkata.



Bomba w Warszawie przy ulicy Grzybowskiej: Zwłoki Owczarka zabitego wybuchem bomby.

Fałszywe bilety kolejowe.

Zdawałoby się, że wobec przenajrozmaitszych sposobów kontroli, jakie zarząd kolei we wszystkich działach administracyi, a zwłaszcza w dziale biletów kolejowych zaprowadził w ciągu lat, wszelkie oszustwa, wszelkie malwersacye, z wyjątkiem kradzieży są wykluczone. A jednak okazało się znowu, iż człowiek nieuczciwy znajdzie zawsze drogę, która mu umożliwi oszukańczą manipulacyę i że nawet w tak ściśle kontrolowanej instytucyi, jak kolej, człowiek taki potrafi obmyśleć sposoby dla oszukania czujnego oka władzy kontrolnej.

Oto bowiem wyszło przed kilkunastu dniami na jaw, że od pewnego czasu znajdowały się w obiegu fałszywe bilety kolejowe, a sprawcami tego dowcipnie obmyślonego oszustwa byli: rewident kolejowy we Lwowie, Waleryan Bełkowski i manipulantka, Zdenka Pelzowa.

Szczegóły odnoszące się do tej sensacyjnej sprawy i do osób, które w niej odgrywały główne role, są następujące: Ow Bełkowski był z zawodu nauczycielem ludowym i dopiero po ożenieniu się dzięki wpływom żony swojej, dostał się do kolei. Awansował dość szybko i przed kilku laty został kasyerem na stacyi w Stryju. Przed laty mniej więcej 12 dokonaną tam została kradzież w kasie kolejowej, przyczem zginęło 32 000 kor. Śledztwo wtenczas przeprowadzone skończyło się ujemnie i sprawców do dzisiejszego dnia nie odszukano. Bełkowski był jednym z poszlakowanych o popełnienie zbrodni i z tego powodu nawet pozostawał przez dłuższy czas pod dozorem policyjnym. Mimo to awansował dalej i przeniesiony przed 10 mniej więcej laty do Lwowa, został rewidentem i zastępcą naczelnika drukarni biletów kolejowych na całą Galicyę. Stanowisko to umożliwiało mu oszukańcze manipulacye bardzo skomplikowane.

Biletów kolejowych mianowicie, przeznaczonych na sprzedaż w kasach osobowych, dostarcza dyrekcya kolejowa w paczkach po sto sztuk, numerowanych liczbami porządkowemi. Numery sprzedawanych biletów notuje się w każdej kasie, a następnie kontrola porównywa numery na biletach, odebranych przez portyerów poszczególnych stacyj, z numerami w protokułach kas. Bełkowski, obznajomiony dokładnie z temi urządzeniami, umiał zaradzić możliwości wykrycia swego oszustwa, a to w ten sposób, że dostawał zużyte bilety kojelowe, zanim dostały się do kontroli i numerami tych biletów opatrywał falsyfikaty. Zużyte bilety niszczył. Falsyfikaty oddawał następnie kasyerce na głównym dworcu Zdence Pelzowej, która była z nim w porozumieniu i która je sprzedawała. W ten sposób oszustwo mogło się ciągnąć latami, bez możności wykrycia, urząd kontroli bowiem dostawał tylko pojedyncze egzemplarze biletów i to opatrzone numerami, które odpowiadały wykazom kas.

Wykrycie oszustwa nastąpiło dość przypadkowo. Mianowicie jeden z urzędników na dworcu głównym we Lwowie zauważył, iż Bełkowski odbywał często konferencye z kasyerką Pelzową, stwierdzono nadto, że w ostatnich miesiącach przychód dzienny w kasie tej był mniejszy podczas służby Pelzowej, niż podczas służby drugiej kasyerki. Nadeszło też podobno w tej sprawie doniesienie anonimowe do dyrekcyi kolei. Wobec tego przeprowadzono rewizyę w kasie Pelzowej i znaleziono całą wiązankę takich fałszywych biletów, przeznaczonych na sprzedaż. Pelzowa przyznała się odrazu do czynu i zeznała, że on namówił ją do tego i dostarczył falsyfikatów. Zeznania te ułatwiły śledztwo, które też wnet się zakończyło odstawieniem obojga obwinionych do więzienia w sądzie karnym krajowym.

Nie wyjaśnionem tylko jest, ile fałszywych biletów sprzedano i jaką stąd szkodę poniósł skarb kolejowy. Mogą to stwierdzić tylko winni.

Niezwykła zbrodnia

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez Goron'a, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

ROZDZIAŁ I.

Krwawy pawilon.

Dnia 15 stycznia 189... gęsta i zimna mgła zalegała Paryż.

Wzdłuż ulicy Clichy, zaledwie oświetlonej blaskiem latarń gazowych, szli spiesznie dwaj ludzie uderzając silnie o asfaltowy chodnik — dla rozgrzania się. Musiało im być dyablo zimno, bo pomimo tych niezwykłych ćwiczeń gimnastycznych, drżeli i kurczyli się od zimna. Ubrania ich lekkie i zniszczone nie mogły ich dostatecznie ochronić przed przejmującym nocnym chłodem.

Szli w milczeniu, trzymając ręce w kieszeniach wytartych spodni — pochyleni naprzód, z głowami wciśniętemi mocno w podniesione kołnierze surdutów. Czapki z daszkami mieli nasunięte, aż po same oczy.

— Cóż tam mój stary — zamruczał jeden z nich pod nosem, dzwoniąc zębami. — Jakoś nie idzie. Psi czas i psie życie!

— Co znowu — odpowiedział drugi brutalnie. — Nie czujesz się zadowolonym? Czegóż ty chcesz właściwie? Już wielki czas zabrać się do roboty. Posługacze będą potrzebowali pomocy przy przewozie mebli... A może się uda co zwędzić...

— To pewne... Ale zawsze wolałbym w tej chwili siedzieć w knajpie nad kuflem piwa.

— Dobry sobie! Zapominasz o naszych zobowiązaniach, o długach za komorne... w knajpie... Chcesz żeby cię haczyli?

— Nie bredź u licha.

— A znikąd nic... Chyba... Możnaby tak zajrzeć do Fresnes... Oh! do dyabła, tam by się w tym nowym domu człowiek obłowił jak się patrzy!

— Brzoskwinio... bredzisz.

— Co? ja?

— Ano pewnie. Czy nie znasz paragrafów? Wiesz, gdzieby nas to zaprowadziło. Ni mniej, ni więcej tylko do... Cayenne.

— Et! co to, to nie! Wiesz dobrze, że mamy protekcye...

— No, no... daj spokój... Już dostałem gęsiej skórki.

— Na taki psi czas, to nie sztuka! Słuchajno „Podwójna Nitko“, tobie szczęście dosyć służy.

Ten, którego towarzysz nazwał „Podwójną Nitką“, był to wielki, chudy drab, lecz silnie zbudowany...

W tej chwili zatrzymał się nagle, głowę podniósł do góry i głęboko wciągnął powietrze.

— Czy ty nic nie czujesz? — zapytał.

— Zupełnie nic.

— No, to chyba nie masz węchu za grosz! Pali się gdzieś niedaleko... Czuję swąd.

— A tobie co do tego! To nie nasz interes. Nie jesteśmy do stu piorunów strażakami.

Po tej odpowiedzi co najmniej egoistycznej, przezwany „Brzoskwinią“ zabierał się iść dalej. Ale towarzysz jego opierał się i chciał sprawdzić, skąd pochodził ten zapach spalenizny.

W tej chwili podmuch silniejszy wiatru przyniósł z sobą gęsty obłok czarnego dymu, rozsiewając wokoło silną woń spalonych szmat.

— A ja ci mówię, że się gdzieś pali. Chcę zobaczyć.

Przechodzili właśnie obok niewielkiej parterowej willi, odsuniętej od ulicy i znajdującej się na wzgórku otoczonym drzewami.

Z komina tej willi buchały iskry i czarne kłęby gryzącego dymu, zlewając się z oparami mgły gęstej. Zaczynało świtać.

— To tutaj — odrzekł „Podwójna Nitka“, trzeba ostrzedz lokatorów. Patrzno.. patrz... dym wymyka się drzwiami... Ależ oni się tam upieką, jak kurczęta na rożnie. Biegnij po ajentów!

— Co? po „burych?“ Także coś nowego. Nie zły koncept! Ty wiesz dobrze, że oni się zawsze znajdują tam, gdzie ich nie potrzeba. Zapomniałeś, jak nas ostatni raz przyłapali.

„Podwójna Nitka“ nie zwracał uwagi na oburzenie przyjaciela. Dobiegł do willi i zaczął pięściami silnie bić we drzwi wchodowe.

— Hola! Jest tam kto? Zmykajcie co tchu!

Ale nikt się nie poruszył w małym domku. Dym coraz gwałtowniej wybiegał szparami.

— Do dyabła! — zawołał „Podwójna Nitka“. -- Trzeba iść do okna... o tam, do tego w ogrodzie.

Jednem silnem pchnięciem wyważył małą furtkę żelazną i wbiegł do ogródka. Po przez szpary zapuszczonej story, widniało słabe światło.

— Pali się w środku! Gwałtu! Spieszmy się! Trzeba wejść do środka.

— Wściekłeś się mój stary — zamruczał „Brzoskwinia“. — Jeżeli tam nikogo niema, a nas tutaj zastaną, powiedzą, że to my podłożyliśmy ogień, okradłszy przedtem willę. Słyszysz! Nie pozwalam ci tam wchodzić! Nie bądź głupi!

— To jeszcze nie dowodzi byśmy zostawili i pozwolili tym biedym ludziom upiec się, jak ziemniakom w popiele.

— Jesteś skończony idyota! Mimo to jednak pospieszył za towarzyszem.

— No dalej! — zawołał „Podwójna Nitka“.— Skocz mi na ramiona i zobacz, czyby nie można otworzyć tego okna.

„Brzoskwinia“ usłuchał.

— Oh! jest haczyk na dole... ale to nic. Załatwię się z tem w jednej chwili.

— Dalej!

Zaledwie „Brzoskwinia“ zaczął nożem odrywać haczyk, gdy nagłe wstrząśnienie o mało go z nóg nie zwaliło.

Okno z trzaskiem się otworzyło i w kłębach gęstego dymu ukazał się człowiek z twarzą skrzywioną ze strachu, oczami w słup stojącemi. Zdawał się niewidzieć nikogo. Zeskoczył z okna i pociągnął za sobą na ziemię „Podwójną Nitkę“.

Nieznajomy zatrzymał się na chwilę, popatrzył błędnym okiem na człowieka rozciągniętego na ziemi i jednym skokiem znalazł się przy furtce ogrodowej.

Za nim „Podwójna Nitka“ i „Brzoskwinia“ krzyczeli na cały głos:

— Trzymajcie go! Trzymajcie go!

Z jakąż radością rzucali oni ten okrzyk, który w innym wypadku byłby ich napełnił rozpaczliwym strachem.

Człowiek uciekający nie musiał być jeszcze daleko.

Równocześnie z ulicy nadbiegło dwóch nocnych stróżów, a w sąsiednich domach zaczęły się okna i drzwi otwierać, przez które ludzie nawpół odziani, wylęknieni, wyglądali na ulicę, pytając o powód hałasu.

— Co się stało?

— Mordują kogoś. Mordują!

— Nie, to pożar!

W domu naprzeciw willi ukazał się w oknie gruby jegomość w koszuli i wznosząc desperackim ruchem ręce do góry, zawołał:

— Ależ to moja własna willa się pali!

Poczem okno gwałtownie zamknął.

W ogrodzie tymczasem tuż obok „Brzoskwini“ i „Podwójnej Nitki“, onieśmielonych widokiem przybyłych ajentów, odgrywała się zacięta walka pomiędzy uciekającym człowiekiem a policyantami, którzy nie wiele myśląc, widząc nawpół odzianego uciekającego człowieka, usiłowali go siłą zatrzymać.

Policyanci owinięci w ciężkie płaszcze, krępujęce ich ruchy, zaledwie mogli z wielkim wysiłkiem utrzymać człowieka, wydzierającego im się z wściekłą rozpaczą. Czynił wrażenie obłąkanego, bił w około rękami i nogami w napadzie strasznego szału. Oczy miał krwią nabiegłe i pianę na ustach.

Z rozpaczliwym uporem powtarzał wstrząsaną nerwowo szczęką:

— Puście mnie! Puście mnie, ja chcę iść...

W tem jeden z policyantów krzyknął boleśnie. Nieznajomy w przystępie rozpaczy ugryzł go z całych sił w rękę.

Policyanci na ten widok wpadli w wściekłą złość. Zapominając się zupełnie, rzucili wydzierającego się im człowieka o ziemię, bijąc i kopiąc zaciekle

W tej chwili „Podwójna Nitka“ rzucił się ku policyantom.

— No panowie! — zawołał. — Skończcie już, widzicie, że się już ruszać nie może.

Rzeczywiście, człowiek leżał bez ruchu na ziemi. Zemdlał osłabiony strasznym wysiłkiem, z jakim się bronił, chcąc ujść policyi.

— Oh, do stu piorunów! — zawołał „Brzoskwinia“ nachylając się nad nim.

Ajenci uspokojeni trochę i przestraszeni widokiem leżącej bez czucia ofiary, stali chwilę niezdecydowani, nie wiedząc co dalej im czynić wypada.

Ulica napełniła się ciekawymi.

Była to pora, w której robotnicy udają się do codziennych zatrudnień. Tłum zbity stał przed sztachetami, grożąc co chwila wtargnięciem do ogrodu.

Jeden z ajentów zamknął pospiesznie furtkę na klucz.

Jakiś człowiek, roztrącając z siłą tłum, tamujący mu przejście, usiłował przedostać się do willi.

— Proszę mi otworzyć! — zawołał do policyantów. Jestem pan Boitard, właściciel domu. Czy nie widzicie, że się tam pali? Trzeba ratować!

Rzeczywiście, przez szeroko roztworzone okno dym buchał z podwójną siłą.

Pan Boitart wszedł do ogródka i nie zwracając najmniejszej uwagi na człowieka leżącego na ziemi, rzucił się ku oknu willi, lecz nie mógł się wdrapać.

— Prędko! Wody! Wody! — wołał głosem urywanym ze wzruszenia na widok poniesionej straty.

Blask wychodzący z wewnątrz pokoju, oświetlał płomienną łuną od czasu do czasu sprzęty i okna.

Jeden z ajentów przy pomocy usłużnych robotników skoczył do wnętrza willi.

Powrócił po chwili dusząc się od dymu.

— Trzeba wody koniecznie — krzyknął — coś się pali w kącie. Trzeba zagasić!

— Poczekajcie! — zawołał pan Boitart — tu w tej małej altance znajduje się drabina.

Ktoś pobiegł po nią; przy jej pomocy właściciel, ajent, „Podwójna Nitka“ i „Brzoskwinia“ weszli do środka pawilonu.

W rogu pokoju, koło kominka, dostrzegli stos różnych lekkich materyj, pomiędzy niemi znajdowała się i suknia kobieca.

Z łatwością ugaszono ogień. Już był wielki czas, bo płomienie obejmować zaczęły firanki i dywany.

Jeden z ajentów zabrał niedopalone strzępy i wsunął w otwór kominka.

Po kilku minutach dym, zalegający pokój, uszedł; zebrane osoby mogły swobodnie oddychać.

— No — rzekł pan Boitard — na szczęście na strachu tylko się skończyło.

Nagle „Podwójna Nitka“ wydał okrzyk zgrozy: potknął się o ciało leżące na podłodze koło łóżka.

— Trup kobiety! — wykszusił zdławionym głosem.

Dreszcz zgrozy przebiegł otaczających.

Ajent zapalił pospiesznie lampę stojącą na stole obok łóżka i oświetlił nią trupa.

— Tak, to trup kobiety — szepnął.

Wszyscy po kolei obejrzeli umarłą.

W nogach rozburzonego łóżka, z którego prześcieradło i kołdra spadały aż do ziemi, leżał trup jeszcze nie zastygły, młodej, szczupłej kobiety, brunetki. Pomimo wyrazu przestrachu, rozlanego na rysach i oczu nadmiernie otwartych, dostrzedz było można, że kobieta musiała być bardzo ładną.

Z pomiędzy dwóch rzędów nadzwyczaj białych i równych zębów, wysuwał się napuchnięty i zsiniały język, nadając twarzy zmarłej przerażający wyraz.

Na szyi nieszczęśliwej widniały wyraźne ślady uduszenia.

Była w sznurówce i bieliźnie, na nogach miała zgrabne buciki. W długich rozpuszczonych włosach wisiał grzebyk nawpół złamany.

Kobieta ta widocznie rozpaczliwie się broniła, bo na delikatnych rękach i bardzo białych ramionach odbijały się sinawe odciski palców i lekkie zadraśnięcia.

— Czy pan ją zna? — zapytał ajent.

— Nie — odpowiedział pan Boitard, do którego odnosiło się pytanie. — Nie... nie widziałem jej nigdy w życiu.

— Do dyabła — szepnął ajent — teraz wiadomą jest rzeczą, dlaczego ten nieznajomy tak się bronił gwałtownie. Przypomniawszy sobie nagle wszelkie reguły, które w takich wypadkach zachować jest obowiązkiem policyi, dodał zwracając się do policyantów:

— Proszę nic nie ruszać i pozostawić tak, aż do przybycia pana komisarza.

Wychylił się oknem i zawołał do swojego kolegi, który w ogródku pilnował zemdlonego człowieka:

— Słuchaj-no, muszę biedz po komisarza. Jest robota! A ty wprowadź tego człowieka tutaj

— Nie będzie to łatwem... okno za wysokie.

— Dobrze. Idę zobaczyć, czy drzwi dadzą się otworzyć.

Klucz dwa razy przekręcony tkwił w zamku od środka.

Ajent otworzył, powiedziawszy przedtem o tem odkryciu właścicielowi willi i obecnym świadkom.

Przed pawilonem tłum się gromadził.

— Dalej! dalej! proszę ustąpić — wołał żywo ajent, zmuszając ciekawych do odwrotu. — Tu nic się nie stało. No dalej! Zwykły ogień kominowy... Już po wszystkiem!

Lecz tłum rozejść się nie chciał, domyślając się i wyglądając dramatu.

Jak zwykle w podobnych okolicznościach czyniono tysiące najniemożliwszych przypuszczeń.

Jedni mówili o złapaniu na kradzieży zgrai sławnych włamywaczy, drudzy utrzymywali stanowczo, że znaleziono trzy zamordowane osoby.

Ajent bezsilny, nie wiedział co począć. Obawiał się, że gdy wyjdzie, śmielsi odważą się wtargnąć do willi. No i wtedy! ładne rzeczy mogłyby się tam porobić. Śledztwo mogłoby zostać udaremnione.

Wybawiono go jednak wkrótce z kłopotu.

Na doniesienie, że na ulicy Clichy stała się rzecz ważna i tłum zalegał ulicę, komisarz policyjny pospieszył wraz ze swym przybocznym sekretarzem. Za nimi postępował oddział policyi.

W mgnieniu oka chodnik i ulica zostały uwolnione od ciekawej gawiedzi. Trzech zaś policyantów na rozkaz komisarza wniosło do willi nieznajomego człowieka, którego posądzano o zamordowanie młodej kobiety, znalezionej w pawilonie.

Był to człowiek wysoki, chudy, o długiej kościstej twarzy, okolonej krótkimi, ciemnymi faworytami. Cienkie, wąskie wargi były starannie wygolone. Na policzkach jego i czole widniały głębokie zadraśnięcia i podrapania, jakie otrzymał w walce z policyą.

Komisarz policyi pan Varangaud, znany był jako urzędnik służbisty i nadzwyczaj czynny, gdy chodziło o wykrycie jakiejś tajemniczej zbrodni.

W kilku minutach zbadał całą sprawę i zażądał ścisłego sprawozdania od ajentów, którzy pierwsi weszli do pawilonu.

Rzucił okiem na klucz tkwiący w zamku, zanotował fakt zamknięcia drzwi od środka, jak również i to spostrzeżenie, że dotąd podejrzenie kradzieży było zupełnie wykluczonem. Obejrzał dokładnie okna i drzwi.

Podczas gdy komisarz oddawał się tym drobiazgowym oględzinom, wniesiono ciągle jeszcze omdlałego domniemanego mordercę.

— Tu potrzebny jest lekarz, — zadecydował komisarz.

I rozkazał jednemu z ajentów, by czemprędzej pobiegł po lekarza, mieszkającego w dzielnicy, pana Ruminet. Kazał również bez straty czasu donieść o morderstwie dyrekcyi policyi i sędziemu śledczemu.

Oczekując lekarza, który miał przywrócić przytomność nieznajomemu i skonstatować śmierć młodej kobiety, komisarz kazał sekretarzowi spisać protokół.

Po kwadransie ajent powrócił.

— Nie zastałem doktora Ruminet — rzekł na wstępie. — Jest w mieście wezwany do chorej kobiety. Miałem już dzwonić do pierwszego lekarza, którego nazwisko dostrzegłem na bramie kamienicy, gdy spotkałem dra Mingret, który właśnie jechał także do chorych.

Komisarz powstał, by przywitać się z nowoprzybyłym, dziękując mu za tak spieszne przybycie.

Doktor Mingret przerwał w krótkich słowach komisarzowi tonem ostrym, który dziwnie kontrastował z dobrodusznym wyglądem jego sympatycznej postaci, twarzą spokojnego dziecka i szczeremi, jasno-niebieskiemi oczami.

— Nie potrzebnie mi pan dziękujesz, panie komisarzu. Bądź pan pewny, że gdyby jedynie chodziło o skonstantowanie śmierci, ani bym się ruszył. Lecz ajent mi powiedział, że macie tu panowie chorego, potrzebującego lekarskiej opieki, dlatego więc tylko przybyłem.

Spostrzegł kobietę leżącą na ziemi i pochylił się nad nią.

— No, ta mnie już nie potrzebuje. Gdzie jest chory?

Wskazano mu człowieka siedzącego na krześle. Twarz miał bladą, jakby z niej ostatnia kropla krwi wyciekła, ręce opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała, nogi wyciągnął przed siebie.

Policyant podtrzymał go.

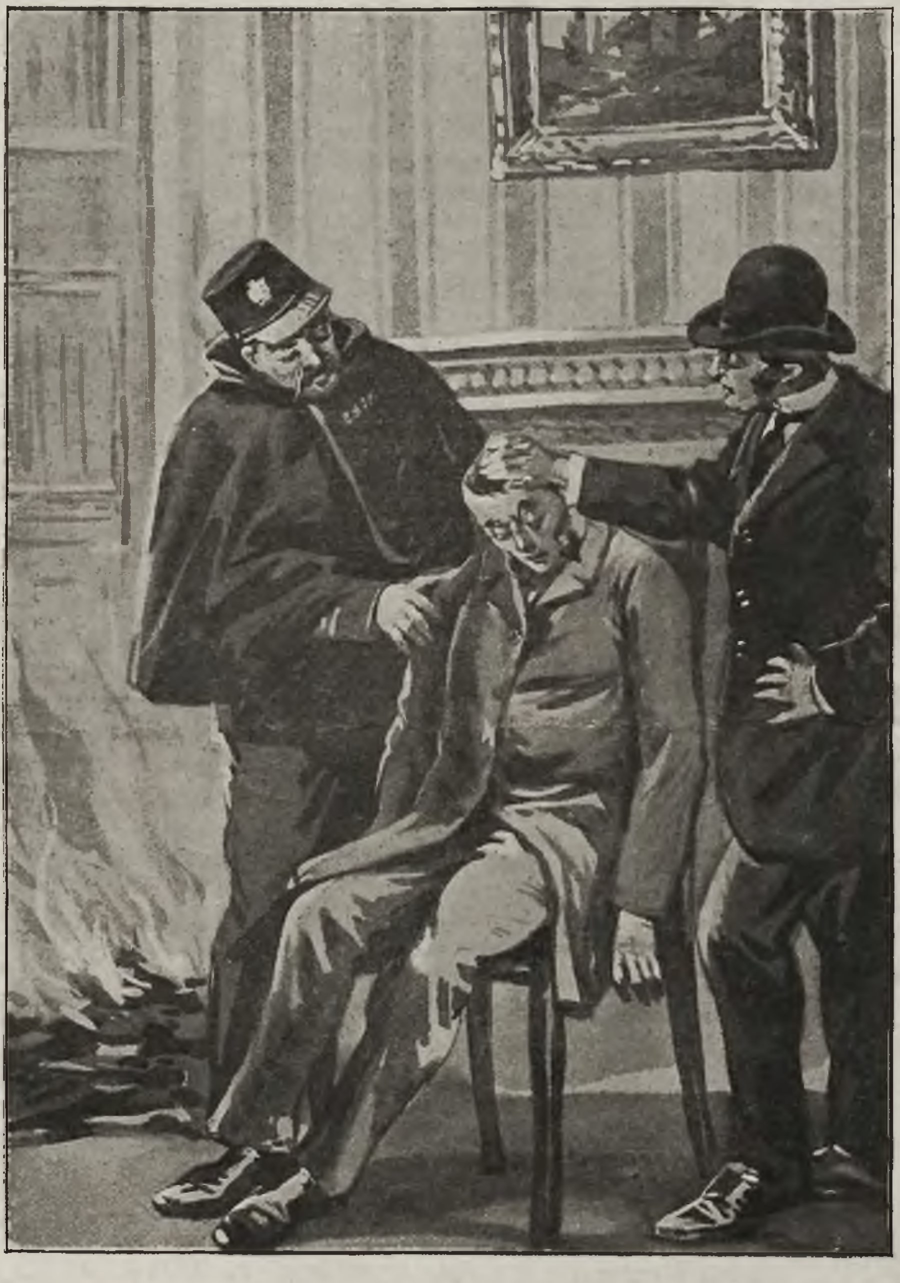
Lekarz zbadał go uważnie.

— Oh! oh! — zawołał po chwili — początki zaczadzenia.

Zwrócił się do komisarza:

— Trzebaby zamknąć to okno i człowieka tego zanieść na łóżko. Jest poprostu skostniały z zimna. Można się obawiać udaru sercowego, jeżeli nie zdołam go rozgrzać czemkolwiek.

Komisarz zezwolił na zamknięcie okna, lecz sprzeciwił się położeniu chorego na łóżko.



— Oh! oh! — zawołał po chwili — początki zaczadzenia.

— Tak, tak, naturalnie — mruczał niezadowolony lekarz. — Zdychaj mój stary, zdychaj sobie. Co znaczy twoje życie wobec formalności, których ci panowie nie chcą poświęcić. Trzeba przecież zdać raport, o położeniu łóżka, materaców, prześcieradeł i kołdry. Przedewszystkiem służba!

Pan Varangaud uśmiechnął się pod nosem. Znał on dobrze dra Mingret. W tej dzielnicy stał się on prawie legendową postacią.

Był to oryginał, u którego zmysł opozycyi był posunięty do dziwactwa. Przekonania jego polityczne, trochę za bardzo liberalne, psuły mu uznanie w sferach bogatej burżuazyi i pomimo wybitnych zdolności i zawsze pewnej, nieomylnej dyagnozy, nie posiadał pacyentów w arystokratycznych kółkach, które miały go potrosze za anarchistę.

Przytem zachował rubaszne obejście jeszcze z czasów swoich studenckich, gdy zamieszkiwał w „Quarteir Latin“, to też koledzy jego patrzyli na niego nieprzyjaznym okiem, zarzucając mu brak ogłady towarzyskiej i dobrego wychowania.

Hołdując wszelkiej niezależności, nie chciał pomimo swojej wysokiej nauki zająć w mieście stałej a rentownej pozycyi. Mówił z lekceważeniem najwyższem o ludziach, poświęcających swoje przekonanie i wolność osobistą dla zdobycia światowej karyery.

„Gwizdał“, jak sam mówił, na wszystko, nie wahał się wejść na szklankę piwa, będąc zmęczony odbytemi wizytami w najodleglejszych dzielnicach, do nędznej knajpy i siąść pomiędzy robotnikiem a roznosicielem gazet.

Doktor Mingret był uczciwym człowiekiem Szedł prosto raz wytkniętą drogą, prowadząc cygańskie życie, nie troszcząc się o opinię ludzką A jeżeli „klasa uprzywilejowana“, jak ją nazywał, pogardzała jego pracą, była ona hojnie cenioną przez liczne warstwy uboższej ludności, której był prawdziwą opatrznością.

Wieleż to razy zostawiał nieznacznie na stole ostatnie swoje franki w ubogiem mieszkaniu robotnika, lub nędznego urzędnika, którego choroba dziecka lub żony pogrążyła w rozpaczy i nędzy.

Doktora Mingret musieli szanować nawet ci ludzie, których raziły jego dziwactwa i zanadto szczere poglądy.

Takim był lekarz sprowadzony przez przypadek do pawilonu, w którym niedawno rozegrał się krwawy a tajemniczy dramat.

— Do stu szatanów! — zaklął poczciwy Mingret — przecież nie mogę pozwolić, by ten biedak umarł z braku opieki. Ten zimny pokój jest dla niego zabójczym.

— Pan doktor zrozumie, że nie możemy ruszać tu czegokolwiek, przed ostatecznem zbadaniem komisyi policyjnej. Chyba w wypadku nagłej śmierci.

— Święty Antoni! drażnicie mnie tylko waszymi wywodami! Czemże w tym wypadku sprzeciwimy się tym waszym niemożliwym prawom i paragrafom! Ja nic wielkiego od was nie żądam. Przypuszczam, że nie wezwaliście mnie po to. abym patrzał spokojnie, jak ten nieborak będzie umierał w moich oczach.

— Doktorze, a możeby go można umieścić na tej kanapie?

Mówiąc to komisarz wskazał szeroką i długą sofę, która zajmowała całą przestrzeń pomiędzy kominkiem a wchodowemi drzwiami.

— Pójdę postarać się o ciepłe koce i kołdry — dorzucił właściciel willi.

— Oh! kogo ja widzę? Pan Boitart mój polityczny przeciwnik przy ostatnich ogólnych wyborach!

— Niema przeciwników, gdy chodzi o ludzkość...

— Dobrze powiedziane, panie gospodarzu! Biegnijże pan spiesznie i dostarcz nam koców i flaneli, a także i spirytusu kamforowego do rozcierania.

Pan Boitart wybiegł spiesznie o ile mu jego tusza pozwalała, uszczęśliwiony, że stać się może w czemś pożytecznym.

— Teraz potrzeba mi dwóch ludzi, by przenieść chorego na kanapę.

„Brzoskwinia“ i „Podwójna Nitka“ ofiarowali swoje usługi. Dr. Mingret wskazał im, jak mają przenieść nieznajomego. Uczynili to tak lekko i zgrabnie, jakgdyby mieli piórko do przeniesienia. Ale w chwili, gdy go umieszczali na improwizowanem łóżku, kanapa, widocznie źle ustawiona, posunęła się ku drzwiom. Okrzyk zdziwienia i zgrozy wyrwał się z piersi komisarza. Z pod kanapy wyglądała naga noga. Kazał natychmiast odstawić kanapę. Oczom obecnych ukazał się zupełnie nagi trup mężczyzny.

— Oh! do wszystkich świętych! — zaklął „Brzoskwinia“ — cóż to? jak widzę, urodzaj w tym domu na trupy!

Komisarz oglądał zmarłego.

Koło serca widniała wyraźna rana zadana wąskim sztyletem.

Doktor zainteresowany tem tajemniczem odkryciem, porzucił na chwilę chorego i pochylił się nad zamordowanym.

— No, ten przynajmniej nie cierpiał długo; został zaskoczony pchnięciem śmiertelnem.

Ciąg dalszy nastąpi.

Z krainy „księcia wiernych“

Marokańczycy podobni są w tem do innych ludów, wyznających islam, że lekceważą sobie wszystkich giaurów, a siebie mają za lud wybrany, któremu wolno robić, co mu się podoba: zabijać bezkarnie „psów niewiernych“, rabować ich mienie, umów z nimi zawartych nie dotrzymywać itp. Takich jednak zapatrywań nie mogą podzielać Europejczycy, którzy, szukając co raz nowych rynków zbytu dla swego przemysłu i nowych dróg handlowych, musieli także wciągnąć Marokko w sferę swych interesów.

Ponieważ jednak te interesy bywają nieraz sprzeczne — przeto Marokańczycy zgrabnie korzystają z niezgody mocarstw, aby stąd ciągnąć zyski dla siebie. Zyski streszczają się przedewszystkiem w utrzymaniu niepodległości państwa sułtana marokańskiego, który nosi tytuł „księcia wiernych“, jako „szeryf“, tj. jeden z następców Mahometa, rzekomo w prostej linii.

Obecny sułtan, Abdul Azis, pomimo, że „de jure“ posiada władzę nieograniczoną, „de facto“ jednak musi się liczyć z fanatyzmem i ciemnotą swoich poddanych. Powszechnie jest np. wiadomem, iż pragnąłby gorąco zaprowadzić w swem państwie wiele reform w duchu kultury europejskiej, lecz wszelkie jego usiłowania w tym kierunku rozbijają się o bierny opór poddanych, który przybiera nieraz formę czynną.

Jedną tylko reformę udało mu się w życie wprowadzić, a mianowicie reformę sił zbrojnych marokańskich, ale to tylko częściowo. Była ona konieczną ze względu na to, że władza sułtana na kresach państwa równała się zeru, że taki n. p. pretendent do tronu, Bu hamara, lub buntowniczy wasal, Raisuli, drwili sobie z niej poprostu.

Nader interesujące zdjęcia, jakie podajemy w dzisiejszym numerze „Now. Illustr“, dają wyobrażenie, jak wygląda obecnie regularna piechota marokańska, uniformowana na wzór tureckiej. Na jednem nich znajduje się pogromca Raisulego, wezyr Gebbas, którego nazwisko tak często spotykaliśmy na szpaltach dzienników ostatniemi czasy, a który nie przyjął nowożytnego uniformu, lecz pozostał wierny tradycyjnemu narodowemu strojowi. Obwinięty w burnus jedzie dumnie na koniu, podobny jota w jotę do swych przodków, którzy przed kilku wiekami zdobyli Hiszpanię.



Z krainy »księcia wiernych«: Obóz wojsk marokańskich.



Z krainy »księcia wiernych«: Wojsko marokańskie wyrusza na wycieczkę.

* * *

Jedną z ostatnich ofiar fanatyzmu Marokańczyków jest dr. Mauchamp. zamordowany w okrutny sposób przez mieszkańców miasta stołecznego Marokko. Dr. Mauchamp bawił od kilku miesięcy w Marokku wraz z misyą francuską, odbywając studya nad krajem i jego mieszkańcami, lecząc bezpłatnie ubogich, oraz czyniąc konkurencyę szarlatanom miejscowym, a jak twierdzą niektórzy, także agentom rządu niemieckiego, który za każdą cenę pragnąłby w Marokku znihilować wpływy francuskie. Kto wie tedy, czyja ręka kierowała rewolwerani i jataganami zabójców francuskiego lekarza, którego podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze.

Smutny ten wypadek dał powód do energicznego wystąpienia Francyi. Minister spraw zagranicznych, Pichon, wydał natychmiast polecenie wojskom francuskim obsadzenia oazy Udżda, leżącej na granicy marokańsko-algierskiej i to na tak długi przeciąg czasu, dopóki rząd marokański nie da zupełnego zadośuczynienia za zamordowanie dra Mauchampa.



Z krainy »księcia wiernych«: Dr. Mauchamp, lekarz francuski, którego zamordowano w Marokko.



Z krainy »księcia wiernych«: Wezyr Gebbas w otoczeniu swej świty.

Kronika tygodniowa.

Przypuszczając, że po „święconem jajku“ wszyscy moi Czytelnicy i Czytelniczki są w dobrym humorze i że humor ten ich nie opuści jeszcze przez kilka dni „ostatków“ święconego, nie mam serca poruszać w dzisiejszej kronice rzeczy smutnych pomimo, iż Wielki Tydzień bardzo w nie obfitował. Zostawiam więc innym współpracownikom „Nowości“ opis krwawych dni w Rumunii, zamordowania Mauchampa w Maroko i Jołłesa w Moskwie, katastrof kolejowych, głodu w Chinach itd., itd., a przystępuję do rzeczy wesołych i do nowin radosnych.

Pierwszeństwo Czytelniczkom — dopóki bowiem niema jeszcze równouprawnienia płci, dopóty kobiety mieć będą wszelkie przywileje, jakiemi ich rycerska grzeczność mężczyzn w ciągu wieków obdarzyła.

Otóż pierwsza wesoła nowina płynie dla nich z... Finlandyi. Równouprawnienie kobiet znalazło tam swój wyraz w ustawie wyborczej do Sejmu wielkiego księstwa, dające im prawo tak czynnego jak biernego wyboru. A więc w samym Helsingforsie ma wielkie szanse zostania posłem p. Maika Friedbergowa, doktorka filozofii, kadydatka partyi młodofińskiej. walczyć z nią będą kandydatki socyalistów, panny: Minne Gilange i Marya Linne, kandydatka starofinów p. Hilda Kekikoski, kandydatka partyi ludowej Helena Westemark i kandydatki ludowo-chrześcijańskie pp.: Jadwiga Solberg i Amanda Renval. To tylko w samym Helsingforsie, — pomyślmy sobie, ile to przedstawicielek płci pięknej musi kandydować w całej Finlandyi! A wszystkie one — jak zapewniają dzienniki — silnie agitują i jeszcze silniej przemawiają; wogóle „pod względem energii kandydackiej przewyższają mężczyzn“. Na szczególną uwagę zasługuje kandydatura p. Gilange, która jest z zawodu służącą, co naturalnie daje zupełną gwarancyę, że jest obeznana z polityką i ekonomią i że ma wszelkie dane do decydowania o losach społeczeństwa, do obmyślania i wydawania ustaw we wszelkich dziedzinach prawa publicznego.

Drugą nowiną jest złożenie śmiertelnych szczątków żony zmarłego Berthelota w... Panteonie. Ponieważ Berthelot był znakomitym uczonym, przeto małżonka jego spoczywać będzie wśród największych mężów Francyi. Grzeczność Francuzów doszła do szczytu i daje obraz, jak srogą jest dola kobiet na tym świecie. Mężczyzna sam sobie wszystko zawdzięczać musi — tyranizowane kobiety zawdzięczają wszystko swoim tyranom. Mąż nauką zdobywa sobie katedrę uniwersytecką, a żona jego, choćby czytać nie umiała, zostaje... profesorową uniwersytetu. Mąż zdolnościami, wymową, zasługami, sprytem itd. dochodzi do teki ministeryalnej a połowica jego bez zdolności, bez sprytu, bez zasług (no — wymowę zazwyczaj posiada), zostaje Jej Ekscelencyą panią ministrową. Przez męża, jak widzimy, dostają się nawet kobiety do... Panteonu. Francuzi jednego tylko nie dostrzegli, a mianowicie, że popełnili niekonsekwencyę, bo walcząc przeciw instytucyi małżeństwa, złożyli jej hołd najwyższy. Nieboszczka Berthelotowa nie spoczęłaby w Panteonie, gdyby nie była dobrą, zacną, idealną żoną. A więc naśladujcie ją, łaskawe panie, a czeka was nasz panteon, to jest Skałka lub Wawel, jeżeli na niego zasłużą wasi mężowie...

Przy tych dwóch miłych dla serca niewieściego faktach można przemycić i przykrą wiadomość. Dochodzi ona z Ameryki, będącej dotychczas rajem wolności, a staczającej się coraz szybciej w przepaść reakcyi, wstecznictwa. Niedawno co donosiłem, że Amerykanie krzywo patrzą na wspólną naukę płci obojga w uniwersytetach i postanowili założyć osobną dla kobiet wszechnicę. Po tym fakcie zacofania i barbarzyństwa, po tem nieuszanowaniu najświętszych haseł postępu pp. Turzymy, Kuczalskiej, Szycówny itd. — nastąpił fakt jeszcze więcej (jeżeli to być może) barbarzyński. Oto obywatel wolnej Ameryki, reprezentant stanu Missouri, mr. Norfleet (niech tem nazwiskiem matki straszą swoje dzieci!) podał w ciele prawodawczem projekt ustawy, mającej na celu ograniczenie zbytku w kapeluszach damskich. Pierwszy paragraf tego billu brzmi. „Od tej chwili naruszeniem prawa będzie, jeżeli jakakolwiek kobieta, zamężna, czy panna, kupi sobie lub przyjmie od kogo, czy też w inny sposób zaopatrzy się w więcej niż 2 kapelusze; cena każdego z nich nie ma przenosić dwóch dolarów“. Dla kobiet amerykańskich, jak widzimy z tych dwóch faktów, nadchodzą czasy ciężkich prób, walki na śmierć i życie o najdroższe prawa...

Ale prawda — obiecałem nie dotykać przedmiotów bolesnych.

A więc — we Lwowie panuje ogromna radość z orderu złotego runa, udzielonego namiestnikowi. Jest to zdaje się pierwsze szczęście, jakie przyniosła krajowi ustawa o równych, powszechnych, tajnych i bezpośrednich wyborach. Hr. Potocki otrzymał bowiem to wysokie odznaczenie za wpływ jaki wywarł na Koło polskie, aby nie opierało się woli monarszej.

Przygotowania do tych pierwszych powszechnych wyborów są w pełnym toku i radują serca tak agitatorów, jak kandydatów. Cały kraj pokryty jest wiecami — fale mów kandydackich zalewają miasta i wioski. Wyładowywanie energii wzrasta — ruch finansowy ożywia się. W karczmach życie, w drukarniach zdwojona praca. Jak grzyby po deszczu, rodzą się codziennie całe zastępy nowych, nieznanych mężów zasługi, zdolności, wiedzy i nieposzlakowanego patryotyzmu...

Ale wracając z „całego kraju“ do samego Lwowa, trzeba zaznaczyć, że nie udał mu się napad bandytów z Królestwa na mieszkanie pana Mikolascha. A tak się cieszono, że przybędą nowe sensacye, że będzie można nawymyślać tym... kongresowiakom za to, że obce rządy zdeprawowały młodzież.

Czytałem wstępny artykuł o owym napadzie, w którym (artykule, nie napadzie) stało najwyraźniej wezwanie do c. k. rządu, aby roztoczył nadzór nad przybyszami i chronił swoich poddanych przed zarazą, płynącą z Krolestwa. Tymczasem pokazało się po trzech dniach, że ów napadnięty i poraniony służący pp. Mikolaschów odegrał prostą komedyę. Nie udało się przypięcie „łatki“ kongresowiakom, ale udało się przychwycenie Łatki na sprzecznościach. Co prawda, chociaż nigdy w sobie nie czułem zdolności Sherloka Holmesa, po przeczytaniu relacyi o napadzie z góry byłem przekonany, że szanowny Łatka jest bohaterem i wynalazcą tej farsy. Otrzymał kilka ran, ale.. drobnych, powierzchownych (bandyci w Królestwie nie żartują!) — prócz tego krzyczał nieprzytomny (?): „Weźcie moje pieniądze, nie ruszajcie pieniędzy państwa!“ Co za grzeczni bandyci, jaki idealny służący! I uwierzono w tak naiwnie odegraną komedyę. Nie, Sherloka Holmesa niema w dyrekcyi lwowskiej policyi!

Za to posiadają go Rusini w redakcyi „Diła“. Z piwnicy opuszczonego domu przy ulicy Sykstuskiej we Lwowie skradziono odlew biustu Szewczenki. Dlaczego Rusini taki odlew przechowywali w piwnicy i to w domu opuszczonym, pozostanie zagadką. Ale nie idzie tu o zagadkę, ale o złodziejów. Wynieśli oni ciężką pakę (prawdopodobnie nie wiedząc nawet, co się w niej znajduje) i zaczęli ją rozbijać w miejscu ustronnem, w sitowiu. Spłoszeni przez pp. Malinowskich, uciekli i Szewczenko ocalał. Fakt jasny, prosty, nie wymagający komentarzy. Śledztwo wykryło nawet, że złodzieje poszukiwali naprzód jakiegokolwiek łupu w dwóch sąsiednich realnościach i dopiero w trzeciej dobrali się do Szewczenki. Ale „Diło“ posiada Sherloka Holmesa. Nie uwierzył on w zwykłą kradzież, ale wywąchał on w tej sprawie „polską intrygę!“ Tak jest — patryoci polscy (zapewne Wszechpolacy), chcąc dokuczyć Rusinom, chcąc im przeszkodzić w postawieniu pomnika Szewczence, wynieśli biust, aby go rozbić w kawałki. Pomysł godny Sherloka Holmesa, ale nie angielskiego, lecz „ukraińskiego“. Bo angielskiego Conan Doyle stworzył mądrym i uczciwym, a ten ukraiński jest kapitalnie głupi i bezczelny.

Ze Lwowa pragnąłbym zajrzeć do Warszawy, ale brak w niej materyału do fejletonu. Przez Wielki Tydzień bandyci zachowywali się stosunkowo dość grzecznie; rozmaitością w ich działalności był tylko rabunek wozu napełnionego ciastem świątecznem, przeznaczonego przez Towarzystwo dobroczynności do rozdania 160 najuboższym rodzinom. Warszawka, „bawiąca się“ też przez Wielki Tydzień, mało dawała oznak życia. Za to zaraz na pierwszy czwartek po świętach zapowiedziano „kabaret na opak“. Pisma podają cały szereg „atrakcyj!“ Oto pani Lüdowa będzie... tańczyła, pani Zimajerowa będzie dyrygowała orkiestrą, grającą symfonię Haydna, a znakomity kompozytor Noskowski odczyta studyum o pieśni: „Wlazł kotek na płotek“ i puści w ruch swą pałeczkę, dyrygując „symfonią dziecięcą“, graną na bębenku, trąbce, piszczałce, dzwoneczkach i kukułce.

Frenkiel będzie udawał poważnego zięcia, Mrozowska wystąpi jako stara i zła teściowa. I tak dalej i tak dalej, jednem słowem: cacy. Bawcie się dziateczki — wszak tak wesoło na świecie, a zwłaszcza w Warszawie. Ale królami „zabawy“ warszawskiej zawsze zostaną Cyganiewicz, Pytlasiński, Lurich, Frysztenski, Murzuk i jak się tam jeszcze panowie atleci nazywają. Zapał dla nich jest tak wielki (mimo odkrycia tajemnicy zapasów), że jedno z pism najpoczytniejszych, w urządzonej przez siebie „sali depesz“, obok najważniejszych i najświeższych telegramów, wystawia późnym wieczorem „rezultaty walki“, aby Warszawa nie potrzebowała czekać aż do rana na wiadomość, kto kogo położył na łopatki. Oto jest zrozumienie zadań i celów patryotycznego dziennikarstwa!

A cóż robiliśmy my w Krakowie w ubiegłym tygodniu? Naprzód obawialiśmy się powodzi, bo ojcowski rząd sądzi, że sama obietnica uregulowania Wisły i przeprowadzenia koryta Rudawy, przestraszy te łalonośne arterye komunikacyi i odpływu nieczystości i skłoni je do zaprzestania figlów wylewowych. Na szczęście powódź się „nie udała“, więc z większą otuchą przystąpiliśmy do pieczenia bab i gotowania szynek. Nie przeszkodziło to nam odbyć wyścigi kolarskie i założyć „komisyę porady artystycznej“ dla właścicieli realności, pragnących uzyskać wskazówki przy odnawianiu i przebudowie domów, przy zakładaniu portali sklepowych, umieszczaniu i wykonywaniu szyldów i t. d. W tymże czasie „Koło literacko artystyczne“ uznało za stosowne połączyć się związkiem małżeńskim z „Klubem prawników“.

W pierwszy dzień Świąt otworzyły się salony prezydenta miasta i p. starosty — w drugi dzień apartamenty biskupie. „Święcone“ u prezydenta była to nowość dla Krakowa, nowość, powitana sympatycznie przez wszystkie stronnictwa, czego dowodem, że żadne z nich nie powstrzymało się od „obesłania“ święconego przez swoich reprezentantów.

Potem chodziliśmy po innych „prywatnych“ święconych, odwiedziliśmy Emaus na Zwierzyńcu, Rękawkę na Podgórzu i w „nowym“ teatrze przyglądaliśmy się starym sztukom, Za parę dni będziemy jeszcze spożywać święcone w Sokole, w Eleuteryi, w Klubie mieszczańskim, w Resursie urzędniczej i t. d. Jest obawa, że na zebraniach tych przyjdzie nam wysłuchać cały szereg mów kandydackich. Obyśmy od nich nie dostali niestrawności!..

Kącik humorystyczny.

Bajka.

W pewnem mieście w Galicyi żył adwokat *bardzo uczciwy człowiek*. Całe miasto stawiało go za wzór i dumnem było z niego, a sława jego uczciwości sięgała nawet poza szczupłe mury miasteczka, tak, że nawet na kilkadziesiąt mil w około wiedziano o nim. W końcu nawet miasto to stało się słynne tem, że posiadało adwokata *uczciwego człowieka*. Pewnego razu adwokat ów zaziębił się, dostał silnej gorączki *i wziął i umarł*. Miasto w uznaniu jego uczciwości i zasług, pochowało go własnym kosztem i wystawiło mu wspaniały pomnik na cmentarzu. Na pomniku tym wyryto następujący napis:

Tu leży
Adwokat i uczciwy człowiek.

W kilka miesięcy później przejeżdżał przez miasto to jakiś książe w otoczeniu całej swej świty. Burmistrz w asystencyi radców miejskich oprowadzał jego książęcą mość po mieście, pokazując mu godne widzenia rzeczy. Między innemi zaprowadzono księcia naturalnie i na cmentarz. Gdy nadeszli do pomnika owego adwokata, i książe przeczytał wyryty na pomniku napis: „*Tu leży adwokat i uczciwy człowiek,*“ stanął, a zwracając się do burmistrza, pyta zdziwiony:

— A odkąd-że to panie burmistrzu chowają u was po dwóch w jednym grobie?



Rozruchy chłopskie w Rumunii.

Suczawa 31. III. 1907.

Rozruchy chłopskie w Rumunii rozszerzają się i przybierają coraz groźniejszy charakter. Ruch chłopski z charakteru agrarnego i antysemickiego przybiera charakter socyalny i polityczny.

W powiatach granicznych z Bukowiną, w których zaburzenia się rozpoczęły, nastąpiło uspokojenie, natomiast przerzuciły się niepokoje w dalsze okolice w głąb kraju, a zwłaszcza na Wołoszczyznę.

Doszczętnie splądrowane zostało miasteczko Burdżejeni, oddalone o jakieś 5 klom. od Ickan, zamieszkane przeważnie przez żydów.

Główna ulica, która właściwie całe miasteczko stanowi, splądrowana i zdewastowana. Szyby w oknach wybite, w wielu miejscach wraz z ramami wyrwane, meble w drzazgach.

Wielu rumuńskich zbiegów twierdzi z całą stanowczością, że rozruchy te popiera tak moralnie jak i materyalnie „Związek prawdziwych Rosyan“ czarnoseteńcy z pod chorągwi Kruszewana.

Wbrew wszelkim niepokojącym pogłoskom o przerzuceniu się rozruchów agrarnych na Bukowinę mowy być nie może, gdyż granica jest pilnie strzeżona przez gęste patrole żandarmeryi.

Władze polityczne wydały stosowne zarządzenia uniemożliwiające chłopom bukowińskim potajemne przekradanie się przez granicę.

Z uznaniem podnoszą wszyscy energiczną i ruchliwą działalność burmistrza w Suczawie, radcy cesarskiego Des Loges, który objeżdża nietylko graniczne gminy swego powiatu, lecz udaje się często do sąsiednich gmin rumuńskich, śledząc ruch na miejscu.

Jemu, jakoteż komisarzowi policyi w Ickanach, Botuszańskiemu, emigranci rumuńscy oddają wielkie pochwały za to, że im ułatwili przejście przez granicę austryacką i wogóle pomagają im wszelkimi sposobami.

We wsi Skeja, oddalonej o 2 klm. od Ickan, żandarmerya aresztowała rosyjskiego akademika Aleksandra Mikołajewicza Spirydynowa, który namawiał bukowińskich chłopów do sprawienia tutejszym żydom krwawej łaźni i odstawiła go do sądu obwodowego karnego w Suczawie. Spirydynow miał już do czynienia z austryackiemi władzami, wielokrotnie bowiem odstawiano go już do granicy.

Żandarmerya, wśród której spisują się bardzo dzielnie wachmistrz żandarmeryi Herman Polaczek, Karol Kaufenberg i ajent policyi Adolf Turkisch, uwięziła pięciu chłopów bukowińskich, którzy w rabunkach brali udział i odstawiła ich do Suczawy.

* * *

Ryciny, jakie do powyższego artykułu załączamy, przedstawiają: Burmistrza Des Loges, komisarza Botuszańskiego, oraz trzech żandarmów, którym w znacznej mierze zawdzięczać należy, iż rozruchy rumuńskie nie przedostały się za granicę austryacką. Dalej widzimy ciekawe typy rumuńskie: popa z żoną i córką w strojach narodowych, dwóch parobczaków wiejskich, cyganki, zakonnice na ganku klasztornym i ludową ceremonię weselną.

* * *

Przed zamknięciem numeru otrzymujemy dalsze wiadomości, tyczące się rozruchów. I tak na Wołoszczyźnie w powiatach, gdzie były najkrwawsze rozruchy, od początku zorganizowały się cztery bandy, które niszczą i palą wszystko co w drodze napotykają. Rząd uzyskał od parlamentu pozwolenie na stan oblężenia, zatem i wojsko operuje z całą energią. Artylerya wysłana z Giurgiu, miasta nad Dunajem, przeciwko bandom, skierowała się naprzód ku wsi Wieru i na odległość 1500 metrów rozpoczęła bombardowanie. Po 15



Rozruchy chłopskie w Rumunii: Pop z żoną i córką w strojach narodowych.



Rozruchy chłopskie w Rumunii: Wesele chłopskie w Rumunii.



Rozruchy chłopskie w Rumunii: Zakonnice rumuńskie na ganku klasztornym.



Rozruchy chłopskie w Rumunii: Cyganki rumuńskie.



Rozruchy chłopskie w Rumunii: Dwaj parobczacy w strojach narodowych

minutach z całej wsi zostały tylko gruzy. Padło do 400 chłopów z dziećmi i żonami. Jak świadkowie opowiadają, działy się tam straszne sceny. Krzyki kobiet i dzieci zmieszane z rykiem bydła i huk armat, tworzyły straszny hałas. Z tej wsi artylerya skierowała się do wsi Stanesti, miejscowość, gdzie w poniedziałek zabito oficera Nikulescu i zraniono kapitana. Tę wieś zniszczono również w ciągu godziny. Strzelano z armat szybkostrzelających.

Zbombardowano jeszcze i trzecią wieś Odivoża. Wieczorem artylerya wróciła do miasta. Cała wyprawa trwała kilka godzin, ale doprowadziła do rozbicia band chłopskich. Padło według oficyalnych obliczeń do 2000 ludzi.

Pomiędzy zabitymi znaleziono kilku księży i nauczycieli, którzy buntowali chłopów.

Nowy minister robót publicznych Mortun, objeżdża miasta i wsie mołdawskie uspakajając ludność. obiecując, że rząd obecny, w którym znajduje się dwoch socyalistów, uchwali ustawy dla chłopów przychylne.

Parlament, w swej większości konserwatywny, przemógł wszelkie waśni partyjne i dla ratowania kraju uchwalił wszystkie ustawy proponowane przez rząd liberalno-socyalny, celem stłumienia buntu i zamknął swoją sesyę zimową.

Z innej strony donoszą, że wśród chłopów w kilku okręgach nastąpiła nagła zmiana usposobienia. Chłopi sami naprawiają szkody, przez się wyrządzone i zwracają zrabowane rzeczy. Z Multan donoszą, że w okręgu Putna objawiają się rozruchy, chłopi domagają się zmiany umów dzierżawnych. Wysłano tam wojsko

Na Wołoszczyznie przyszło w kilku miejscowościach do starć, przyczem wiele osób zabito lub zraniono. W okręgu Valcea, który jest centrum zamieszek, wszystkich przewódców aresztowano, a wielu zbuntowanych chłopów, bądź zabito, bądź zraniono. W okręgu Arges kilka wsi podpalili chłopi.

Pochodzący z Gałaczu kupiec Leon Steinberg i jego żona popełnili w Wiedniu samobójstwo przez zaczadzenie się, po wiadomości, otrzymanej z Gałaczu, o zniszczeniu ich interesu.

W Bukareszcie wykryto sprzysiężenie skierowane przeciwko pannującej dynastyi Hohenzollernów. Silne patrole przeciągają przez miasto, rezydencya jest pilnie strzeżona i obsadzona wojskiem, również wszystkie ministerya otrzymały ochronę wojskową. Zgromadzenia i zbiegowiska uliczne wzbraniane są i rozpędzane.

Ludność jest bardzo zaniepokojona faktem, że rząd odkrył ten spisek antydynastyczny. Pomimo zarządzeń wojskowych całe życie kupieckie zamarło. Rozmaite pogłoski alarmujące krążą wśród kół politycznych jak również wśród ludności miejscowej.



Fot. J. Chrzanowski z Suczawy.
Rozruchy chłopskie w Rumunii: Radca cesarski Des Loges, burmistrz miasta Suczawy (z żoną).



Rozruchy chłopskie w Rumunii: K. Kaufenberg, postenführer żandarmeryi, A. Türkisch, agent policyi, Botuszański, komisarz policyi w Ickanach H. Polaczek, wachmistrz żandarmeryi.



Teatr Gabryeli Zapolskiej: P. Kalinowska jako Hesia Dulska.



Teatr Gabryeli Zapolskiej: Cace-Walk, tańczony przez pp. Kalinowską i Leńczewskiego, przy końcu aktu I. »Moralności pani Dulskiej«

Teatr Gabryeli Zapolskiej.

Kiedy wyczerpani i znużeni zbyt długiem przedstawieniem w teatrze, wracamy niezadowoleni w nasze domowe zacisze zadajemy sobie niejednokrotnie pytanie, dlaczego poziom artystyczny stale u nas coraz bardziej opada, co wpływa na to właściwie, że z żalem prawdziwym wspominamy owe błogie czasy, kiedy teatr nie był źródłem zarobku dla spekulacyj dyrektorów, ale prawdziwym przybytkiem sztuki. Często znowu słyszymy namiętne protesty autorów, których przy wystawieniu ich sztuki, pominięto bez ceremonii, jakgdyby prawo autorskiej tantiemy było czemś obcem dla niegodnych spekulantów. W czasach dzisiejszych, kiedy materyalizm rozpanoszył się u nas na dobre, przyzwyczajeni jesteśmy po części do tego i uśmiechamy się tylko, jeśli prowincyonalny dyrektorek ośmieli się zbierać grosze za wystawioną sztukę, nie zawiadomiwszy zupełnie autora — lecz krzyk oburzenia musi się wyrwać z piersi każdego z nas, skoro czytamy, że sceny wielkomiejskie nawet idą o lepsze z prowincyonalnym dyrektorem. To już szczyt materyalizmu!

Stosunki takie niestety są u nas aż nazbyt częstem zjawiskiem — wszak mamy dyrektorów scen wielkich i poważanych, którzy niejednokrotnie stwierdzili, że nie uznają paragrafu traktującego o literackiej tantiemie, a jeśli sobie wspomną o nim czasami, to wystawiają rzeczy zmarłych powieściopisarzy, gdyż martwi nie upomną się o swoje prawa autorskie.

To były właśnie powody, które skłoniły znakomitą autorkę p. Gabryelę Zapolską do założenia trupy prowincyonalnej, mającej grywać wyłącznie jej sztuki. Wszak ona należała do tych licznych autorów, których prawa ścieśniano aż nazbyt często! Pomimo szalonego powodzenia kasowego sztuk jej wystawianych niekiedy z rzędu razy kilkanaście, tantiemy p. Zapolskiej jako autorki pozostawały w rażąco odwrotnym stosunku do powodzenia jej sztuki — teatr wysprzedany był i zapełniony po brzegi, a p. Zapolska dostawała zaledwie małą sumkę. Że prawa jej starano się ustawicznie zmniejszać i ogra-

niczyć nad tem przechodzimy do porządku dziennego, jako nad faktem zbyt znanym i głośnym.

Znakomita powieściopisarka przebywa obecnie dla poratowania zdrowia w lecznicy dr. Ebersa na Lido; kierownictwo nad trupą skompletowaną



Teatr Gabryeli Zapolskiej: P. Rowińska jako pani Dulska.

przy jej pomocy, objął mąż jej, znany artysta malarz. p. Stanisław Janowski. Nowo założony teatr cieszy się niebywałem powodzeniem, artyści spełniają swe zadania bez zarzutu; spotykają się na każdem miejscu z prawdziwem uznaniem.

P. Rowińska, której fotografie w sztuce p. t. „Moralność pani Dulskiej“ zamieszczamy w dzisiejszym numerze, pozyskała niebawem zupełną sympatyę publiczności. Również pp. Sznage, Kalinowska, Kratochwilowa, Czajkowska, Grabowska utrzymują scenę na artystycznym poziomie grając z werwą i niebywałym humorem wraz z pp. Lenczewskim i Czajkowskim. Niebywałe powodzenie kasowe jak również drobiazgowa dbałość kierownika trupy pozwalają przypuszczać, że nowo zorganizowany teatr „Gabryeli Zapolskiej“ podbije niebawem serca szerokiej publiczności. My z naszej strony życzymy mu najlepszego powodzenia

Nowy kolos morski.

Wielka Brytania — bez względu na to, jakie stronnictwo stoi chwilowo u steru rządu — trzyma się tej zasady, że jej marynarka wojenna powinna zajmować dominujące stanowisko na wodach całego świata, a być silniejszą od flot połączonych dwóch pierwszorzędnych mocarstw morskich. Toteż parlament angielski uchwala każdemu rządowi, żądane na cele marynarki kredyty, dochodzące teraz do sum olbrzymich

Zdawało się, że doświadczenie, zebrane podczas ostatniej wojny japońsko rosyjskiej, powinny były odwieść mocarstwa od budowania olbrzymich statków, a raczej skłonić do sprawiania statków mniejszego typu, a za to zwrotniejszych. Tymczasem dzieje się inaczej. I Francya i Rosya, przystępująca do rekonstrukcyi swej floty, budują morskie kolosy, Anglia zaś przoduje im w tym kierunku.

* * *

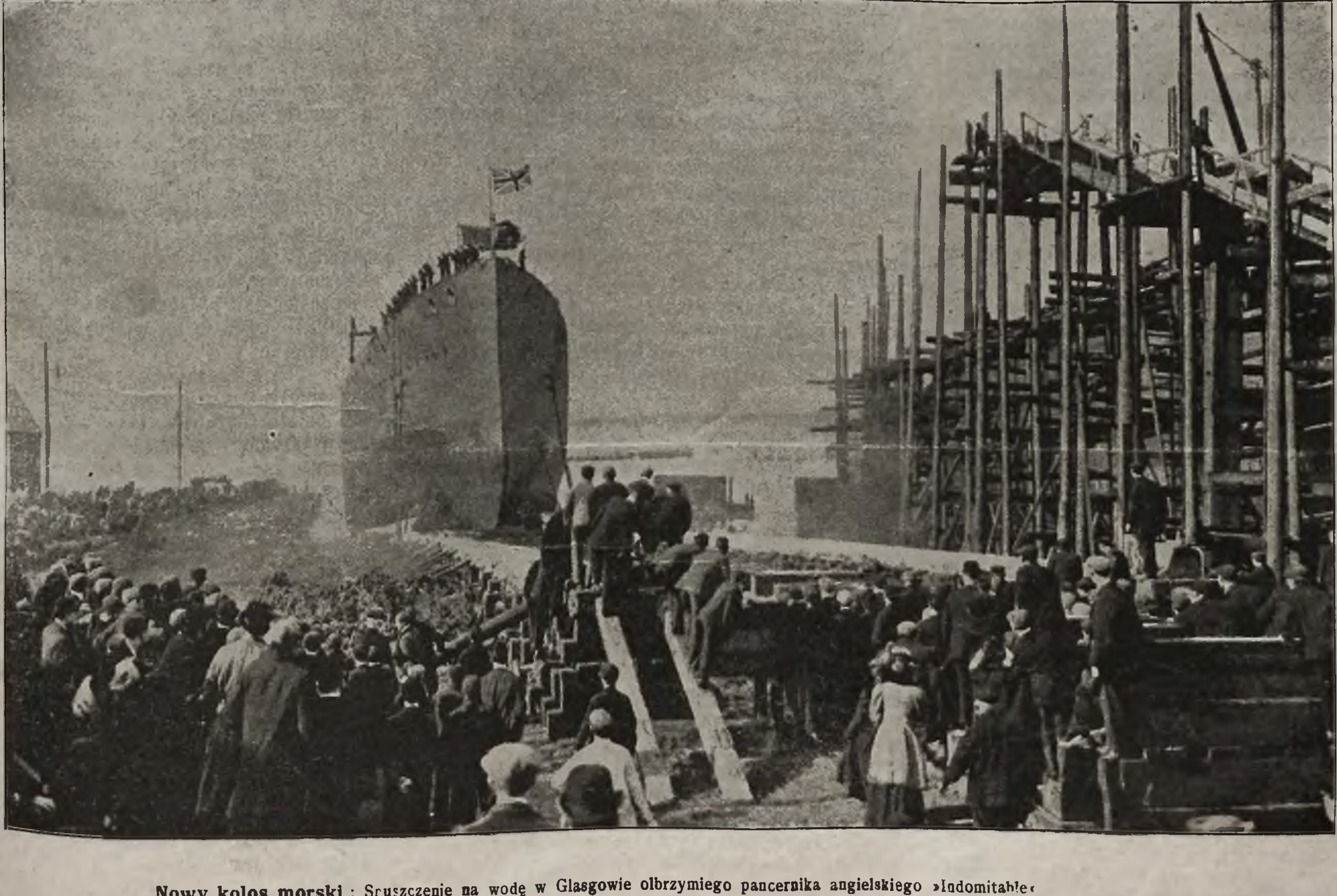
I tak, przed kilku dniami spuszczono na fale morskie w Glasgowie największy krążownik angielski „Indomitable“, a ten fakt odbył się prawie, że w tajemnicy, bo zarządzono go o całą godzinę wcześniej, niż było w programie zapowiedziane.

* * *

Wogóle admiralicya niechętnie udziela wiadomości o tym potworze morskim. Wiadomo tylko tyle, że mierzy on 530 stóp angielskich długości, 78 stóp szerokości, posiada maszyny o sile 41.0 0 koni, mające mu dawać szybkość 25 węzłów na godzinę, a pojemność jego wynosi 17.250 ton. Cyfry to wymowne, szczególnie gdy weźmie się na uwagę, że największe dotychczasowe statki wojenne nie posiadały silniejszych maszyn nad 30.000 koni parowych a szybkość ich wynosiła 20-21 węzłów, tj 47 do 39 kilometrów.



Fałszywe bilety kolejowe: Zdenka Pelcowa, kasyerka na dworcu lwowskim. (Do art. na str. 10)



Nowy kolos morski: Spuszczenie na wodę w Glasgowie olbrzymiego pancernika angielskiego »Indomitable«

Z lwowskiego bruku.

(Po świętach. — Nowi kandydaci. — Ich zdecydowanie i brak decyzyi. — Przygotowania. — Kamienica zawalona — Dzisiejsze kamienice. — Wicher. — Katastrofy kolejowe. — Poczta galicyjska jako złodziej lub oszust. — Pawilonik publiczny i wyższość magistratu lwowskiego.)

Święta minęły spokojnie, choć wesoło. Na chwałę Boga dano milion strzałów, wypito milion flaszek alkoholu, połknięto milion wołów, wieprzów, koni, baranów, psów, gęsi, kur, kaczek, indyków etc., wygłoszono milion życzeń, wyszastano milion guldenów, zakupiono milion nowości, wylano milion gramów wody kolońskiej, jednem słowem świątkowaliśmy.

Powoli zaczyna Lwów przychodzić do siebie po sutych świętach, powoli żołądki wracają do funkcyi normalnej, powoli robi się wiosna i zbliżają się wybory a wraz z nimi cały szereg sensacyj i skandalików.

Już dotychczas zgłosili się niektórzy tacy kandydaci na posłów, że ludzie zachodzą w głowę i pytają, na jakiej podstawie ci kandydaci zamierzają ubiegać się o mandat? Sami kandydaci jeszcze nie całkiem dokładnie zdają sobie z tego sprawę, a niektórzy z nich jeszcze nie wiedzą, w jakim okręgu mają kandydować, ba — na jaki program... Prawda, że trudno im się zdecydować. Już są zdecydowani osiągnąć mandat i być posłem, bo cała familia jest stanowczo za tem, a tylko nie wiedzą, do jakiej polityki mają się przyznać.To znowu nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się mogło laikowi wydawać. Wystarczy wystawić w swoim kominie chorągiewkę jednej partyi, aby druga partya obrzuciła zaraz kandydata całą furą błota.

Na razie więc wszystko przygotowuje się cicho: kandydatury, mowy programowe, błoto, agitatorów, kredyt, gotówkę, dzienniki, gotówkę, afisze, plecy, prośby, groźby i kiełbasę.

Poza tem zajmujemy się sprawami miejskiemi, a między innemi kamienicą, która od 200 lat stoi przy ul. Żółkiewskiej, a od 100 lat czeka, ażeby ją magistrat lwowski zamknął. Magistrat — co prawda — zamknął ją kilka razy, ale każdym razem znalazł się jakiś klucz protekcyjny, którym dało się otworzyć zamkniętą kamienicę, aż wreszcie przed świętami runęła, grzebiąc w swoich gruzach starą kobiecinę na śmierć, a innych lokatorów przyprawiając o kalectwo.

Kamienica ta jednak stanowi prawdziwą chlubę lwowskiej gospodarki miejskiej. Ona przynajmniej stała 200 lat. Przed 200 laty stawiano we Lwowie mocne domy. Starał się o to ówczesny magistrat, a raczej ówczesny urząd budowniczy miejski. Dzisiejszy urząd budowniczy miejski nie będzie tak długo patrzał na swoje dzieła. Teraźniejsze kamienice nie wytrzymają ani połowy tego, ani 1/4 części. Dzisiejsze domy nie są w stanie przeżyć swoich twórców. Na szczęście nie ma we Lwowie silnych wichrów. Jeden silny wicher zwaliłby połowę Lwowa i rozniósłby klatki lwowskie, zwane eufonicznie kamienicami.

Powstał wprawdzie we Lwowie w ostatnich dniach jakiś „Wicher“, ale ten zdaje się ani nic nie zbuduje, ani nie zwali. Wypuszcza go bowiem znany Fuk a ludzie, którzy nie wierzą w gwiazdę fukową, powiadają, że „Wicher“ fuknie tylko dwa trzy razy i przestanie dąć, bo uspokoi go drukarnia, która zażąda haraczu za podsycanie „Wichru“. Ucierpi na tem ojczyzna, ale Austrya będzie uratowana, bo najcięższy jej wróg i najniebezpieczniejszy zarazem legnie z podciętemi skrzydłami.

Jeżeli jednak z tej strony nie grozi Austryi poważniejsza katastrofa, to gotowe ją całkiem wyludnić katastrofy kolejowe, które od pewnego czasu są na porządku dziennym i nocnym. Zwłaszcza Galicya miała w ostatnich czasach tyle nieszczęśliwych wypadków kolejowych do wykazania, że wkrótce zasłynie z tego na całym świecie. Ma to tę jedną dobrą stronę, że świat przecież coś kiedyś usłyszy o Galicyi. Natomiast ma więcej złych stron, a nawet sama lwowska dyrekcya kolejowa twierdzi, że tak być nie powinno.

Lwowska dyrekcya kolejowa po każdej katastrofie wysyła do dzienników komunikat, w którym dla uspokojenia ludności podaje przebieg katastrofy, dodając na końcu, że śledztwo w toku. Ale zanim jeszcze zabrała się do jednego śledztwa następnie druga katastrofa i trzeba zaczynać drugie śledztwo. A zaraz potem dalsza katastrofa i dalsze śledztwo. I tak nieustają śledztwa, maltretuje się urzędników i służbę i szuka się przyczyny na torze kolejowym, gdzie notabene bardzo trudno ją znaleźć, jeśli się nie pamięta, że ona jest — we Wiedniu, w ministerstwie kolei i jego szparsystemie..

Już to nasza kolej i nasza poczta zasługują na uwiecznienie w osobnej książce, oprawnej w świńską skórę z brzegami z oślej skóry. Gdy np. dzisiejszy list nadam do redakcyi „Nowości“ dziś wieczór „express“, powinien jutro rano być w Krakowie, gdzie go należy doręczyć o godzinie ósmej. Za to przecież płacę prócz należytości pocztowej 30 hal. więcej.

Tymczasem list może wam nadejść jutro wieczór, a wiec o 12 godzin później, albo pojutrze rano, a więc o 24 godzin później. Tak dzieje się prawie co tydzień. C. k. poczta wykrada mi więc z kieszeni 30 hal., a to trudno inaczej nazwać jak kradzieżą, albo nawet oszustwem, a jeśli się to dzieje często — jak w tym właśnie wypadku — ohydnem, nałogowem oszustwem. Za to powinna c. k. poczta pójść do kryminału.

I jak tu wsadzić pocztę do kryminału, jak wymierzyć sobie sprawiedliwość? Żalić się, pisać, robić przedstawienia — to groch o ścianę. Już prędzej wykołatasz coś w lwowskim magistracie. Tu kołatano od lat piętnastu, aby wystawił pawilonik publiczny na placu powystawowym, skarżono się na ten brak, krzyczano gwałtu, grożono niemożliwą zemstą i wreszcie w tym tygodniu uchwalił magistrat nareszcie wystawić taki pawilonik.

Ale gdyby to od poczty zależało, to cały Lwów wyglądałby tak, jak... jak teraz wyglądają porządki pocztowe. A gdyby od kolei zależało, ta zarządziłaby naprzód śledztwo, potem dałaby komunikat do dzienników, potem suspendowałaby kilku urzędników, a wreszcie przyszłaby do przekonania, że we Lwowie nie trzeba pawilonu, bo Lwów i bez tego ładnie wygląda. a mieszkańcy mogą się obejść przy dobrej woli. Wynika stąd wyższość naszego magistratu, któremu za ostatni pawilonik należy się uznanie i wdzięczność nietylko obecnych, ale i wszystkich przyszłych pokoleń, jak długo pawilonik ten istnieć będzie dla dobra ludzkości.

Kl.

Detektyw w opałach.

(Dokończenie).

— Coś wam powiem moi państwo — zaczął, ojcowskim tonem. — Oboje jesteście tacy młodzi a ja... ja... także mam serce. Jestto grubem naruszeniem obowiązków zawodowych, którego zamierzam się dopuścić — ale, jeśli chcecie uciekać, tak, jak jesteście, to nie będę wam stawiał przeszkód, udam, że nie wiem o niczem....

— Nie mamy zamiaru korzystać z pańskiej wspaniałomyślności, — odparła wyniośle Miss Ada.

Mr. Ronald milczał w zamyśleniu. Prawdopodobnie układał w duchu mowę, jaką zamierzał wygłosić do ojca-tyrana.

Tom Patterson „detektyw“, wzruszył ramionami.

— Jak państwo chcecie — rzekł, kierując się ku drzwiom. — Ponieważ przyjdzie tu prawdopodobnie do przykrej sceny rodzinnej, przeto wolę odejść. Spełniłem swój obowiązek i jestem zupełnie zbyteczny.

— Stać! Pan zostajesz! — krzyknął energicznie młody człowiek. — Jeszcze jesteś nam pan potrzebny.

Na rozkaz ten Mr. Tom Patterson bynajmniej nie zwrócił uwagi. W kilku krokach znalazł się u drzwi, otworzył je i... wpadł na powracającego do domu Mr. Rafaela Screw.... Za nim stała młoda para i odcinała mu odwrót od okien pokoju jadalnego. Teraz nadeszła chwila fatalna! Tylko bezczelność mogła go jeszcze uratować.

Skłoniwszy się tedy grzecznie gospodarzowi domu, zaczął tonem swobodnym:

— Udało mi się szczęśliwym trafem przeszkodzić ucieczce pańskiej córki z tym młodym obecnym tu oto człowiekiem. Ale mogę pana zapewnić, że była to robota niełada.

— Panie Screw, jeżeli za stosowne uważasz śledzenie nas przez detektywa, to — tu uniósł Mr. Ronalda temperament — niechaj mnie piorun trzaśnie, gdy zniosę podobne postępowanie!

Miss Ada zawisła na jego ramieniu.

— To jest postępowanie niegodne!.... wstrętne! .. — mnie kazać śledzić przez detektywa! . Wybuchła spazmatycznym płaczem.

Mr. Screw patrzył bezradnie dookoła, to na młodą parę, to na obcego mężczyznę.

— Cóż to za głupstwa wyrabiacie? — spytał po chwili cokolwiek ochłonąwszy. — Ani słowa z tego nie rozumiem, czyście powariowali?..

Tymczasem Tom Patterson poruszył się znów o kilka kroków bliżej ku drzwiom, które na razie były wolne. Lecz, gdy w tej chwili oczy obecnych były nań zwrócone, przystanął.

— Rozumiem panie — zaczął tonem obrażonego — teraz chciałbyś pan udawać niewiedzącego o niczem. Lecz ja spełniłem moją powinność, nie dopuściłem do ucieczki młodej pary, a temsamem uczciwie zasłużyłem swoje honoraryum. Jutro pozwolę sobie zgłosić się po nie....

I znów o parę kroków ku drzwiom się zbliżył.

— Ucieczka? Detektyw? Co to wszystko ma znaczyć?... Nigdy w życiu nie miałem do czynienia z detektywami, a teraz...

— Ależ tu stoi detektyw, którego zamówiłeś papo aby nas prześladował — rzekła Miss Ada.— Jedyny sposób naprawienia twego błędu, kochany papo, polega na tem, abyś nam pozwolił się pobrać.

— Żeńcie się, choćby i zaraz! — woła nie na żarty rozgniewany miliarder. — Przedewszystkiem powiedzcie mi jednak, co znaczy ta cała głupia komedya?

Poczciwemu Tomowi zaczynało być gorąco. Sytuacya stawała się krytyczną. Szybka, niezwłoczna ucieczka była jedynym środkiem ocalenia.

Rachował on na ten środek, zapomniawszy o młodym zirytowanym człowieku, który przejrzał jego zamiary. Tylko dwa kroki od drzwi go dzieliły, gdy wtem poczuł dwoje silnych rąk na ramionach. Bronił się z całych sił, lecz napróżno! Po kilkunastu sekundach leżał na ziemi, przeciwnik klęczał mu na piersiach i trzymał w żelaznym uścisku.

Podczas mocowania się, z kieszeni mniemanego detektywa wypadło eleganckie etui i potoczyło się wprost pod nogi Rafaela Screw. który osłupiał.

— Proszę darować mi — mówił Mr. Ronald— tę bójkę w pańskim domu. Ale to jest oszust, zwykły złodziej.

Wreszcie miliarder odzyskał mowę.

— Panie, pan bardzo dokładnie oporządziłeś moją córkę, to trzeba panu przyznać — mówił w tonie uznania Mr. Screw — gdy z pomocą Mr Ronalda wyciągał z niezliczonych kieszeni Toma coraz to więcej etui i srebrnych oraz złotych przedmiotów — tak, to trzeba panu przyznać! Policya będzie miała...

— Ah panie Screw, czemu pan chcesz mnie i tej młodej parze zrobić na złość?... — pytał żałośnie Tom Patterson. — Przecież chyba nie życzysz pan sobie, aby cała ta awantura dostała się na szpalty dzienników?...

— Nic mi na tem nie zależy.

— Proszę wyobrazić sobie taką notatkę po dziennikach: „Udaremniona ucieczka Miss Ady Screw. córki Rafaela Screw, właściciela firmy Rafael Screw and Co.“ i to wydrukowane tłustym drukiem. Jeżeli wysoka policya zostanie w tę sprawę wmieszaną, to musiałbym przecież całą sprawę opowiedzieć jak najdokładniej. W przeciwnym razie, już ze względu na własny interes, będę, jak grób milczał.

Mr. Screw zaczął się zastanawiać. Ten człowiek miał w gruncie rzeczy racyę.... gdyby ta awantura się rozgłosiła. Na samą tę myśl dreszcz wstrząsnął miliarderem.

Także Mr. Ronald zgodził się na to, aby puścić wolno grzesznika, lecz wprzód starannie zrewidował jego bezdenne kieszenie.

Miss Ada zaś, rzuciwszy się ojcu na szyję, to płacząc, to śmiejąc się, tak długo prosiła go o łaskę dla „detektywa“ i o błogosławieństwo ojcowskie dla siebie i Ronalda, aż stary zmiękł i uczynił wszystko, czego odeń żądała ukochana pieszczocha.

* * *

W pięć minut później Mr. Tom Patterson zmykał, ile mu sił starczyło, po ciemnych ulicach miasta.

Bolały go wprawdzie plecy i ramiona, na których czuł jeszcze silne pięści Mr. Ronalda, jednakże z prawdziwem zadowoleniem wspominał świeże swe przygody.

KONIEC.

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

14. przełożył z włoskiego W. Ż. K.

Ciąg dalszy.

— Nie podała mi go wcale, wyrzekając się stałej ze mną korespondencyi, jaką z rodzicami utrzymuje, dając im o dzieciach relacyę co sześć tygodni. Wiem atoli, że w Genui była do niedawna, a teraz do Wenecyi wyjechała, bo Wilhelmina otrzymała stamtąd karty z pięknymi widokami od matki. Pani Luidgarde przyjeżdża tu pięć lub sześć razy w roku, bawi zwykle przez cały tydzień przy dziewczynce, okazując dziecku najtkliwszą miłość, troskliwie dowiaduje się o jej zdrowie i postęp w naukach, załatwia rachunki i odjeżdża, nie podając swojego adresu.

— Czy mogłaby mi pani pokazać taki list matki Wilhelminy?

— Mam tylko dwa i zaraz je wręczę, treść ich zupełnie obojętna.

— Mnie zależy tylko na poznaniu pisma, a teraz prosiłbym o pokazanie mi dziewczynki.

Właścicielka pensyonatu zadzwoniła na służbę, posłała po Wilhelminę. Dziewczynka zakłopotała się na widok obcego człowieka, lecz Aleksandrowicz ośmielił ją pieszczotliwem przywitaniem:

— Chciałabyś zobaczyć mamę? - zapytał uśmiechając się przyjacielsko.

— O, bardzo, bardzo!

— Myślisz często o mamie?

— Zawsze, bo mamę bardzo kocham.

— Wolałabyś pewnie być z mamą, niż tutaj?

— O, tak. Mama mi obiecała, ze tu już niedługo będę, że mnie zabierze do siebie i na zawsze przy sobie zatrzyma.

Tyle było wdzięku i powabu w tej dziecinie, tyle urody dziecięcej [illegible], Aleksandrowicz nie mógł powstrzymać się od rozrzewnienia, gdy sobie pomyślał, jaki to cień zbrodni ściele się koło tej anielskiej główki.

— A kiedyż byłaś u mamy?

— Raz na wakacye wzięła mnie mama do Genui. A! jak tam pięknie! jak miło!

— Widziałaś kiedy ten obrazek? — zapytał Aleksandrowicz, pokazując dziecku miniaturę na spince.

— A to ja, to mój portret!

— A kiedyż to malowane?

— Dwa lata temu — wtrąciła Winterowa. Pamiętam, że wtedy pani Luidgarde powierzyła pewnemu malarzowi, który tu wówczas bawił, wykonanie kilku miniatur.

— Ale ciebie dziecino odmalował jeszcze inny malarz, co? — pytał Aleksandrowicz.

— O tak, tak. Wymalował taki duży obraz, o! bardzo duży, taki jak ja.

— Czy ci się podobało w Genui w mieszkaniu mamy?

— O, bardzo. Śliczny salon, wielkie pokoje, duży pałac.

— A jak nazywa się ulica, w której ten pałac stoi?

— Nie pamiętam.

— A co twój tato porabia?

— Tato? ja nie mam taty. Spuściła oczęta, pochyliła główkę, zasmuciła się bardzo. Inne dziewczęta mają i mamę i tatę — a ja mam tylko mamę.

Aleksandrowicz powiedział dziecku kilka słów pieszczotliwych, rozweselił nadzieją przyjazdu mamy, poczem właścicielka pensyonatu dziewczynkę wyprosiła. Aleksandrowicz poprosił o zachowanie wszystkiego w ścisłej tajemnicy, pożegnał się z Winterową, zdał sprawę w dyrekcyi policyi, prosił, by kontrolowano korespondencyę z Wilhelminą, a zwłaszcza na listy z Wenecyi przychodzące uwagę zwracano i pospieszył do Genui.

XVI.

Przyjaciele z Barcelony.

Conte Alfonso był przecież niespokojny, chociaż mu się zdawało, że Elenę pokonał i opanował na nowo. Odzyskał uległość, ale nie odzyskał zaufania! A tego mu było potrzeba. Wstał później, niż zwykle, dopadł gondoli i kazał płynąć do mostu Rialto. Sunęła się gondola po lagunach, otaczał ją wspaniały widok na plac św. Marka, aż skręciła w Canale grande. Conte Alfonso nie zwracał na to uwagi. Zatopiony w myślach, układał plany przyszłości, jak odzyskać zaufanie Eleny, jak z niego skorzystać, i jak się ukryć i zabezpieczyć

A im bardziej myśli jego ku przyszłości sięgały, tem natrętniej przypominała się przeszłość. Tak bywa zwykle, boć przeszłość jest podwaliną przyszłości. Conte Alfonso odpędzał wprawdzie natrętne obrazy minionych lat, one odpędzić się nie dały, jeno coraz jaskrawiej cisnęły się w oczy, coraz bardziej malowało się w nich dotychczasowe życie hrabiego.

I widział się teraz jak w zwierciedle. Szachrajstwem zdobywał grosz, tracił go, zaglądał nędzy w oczy i zuchwalstwo i przebiegłość dźwigały go, pomagały do nowych szalbierstw; znowu wypływał przez odmęty podłości na fale wygodnego życia. I znowu bliskim był upadku i nędzy, gdy poznał Elenę. Dokazał mistrzostwa. Rozkochał ją, rozmiętnił, opanował zupełnie, dowiedziawszy się, że posiada majątek. Nawet zrazu na seryo myślał o małżeństwie z Eleną, obliczywszy, że jej majątek starczyłby na spokojne i wygodne życie dla obojga. Lecz potem? potem myśl tego małżeństwa bladła, usuwała się w dal, chowała za mgłę niepewności. Po co wreszcie, skoro majątek Eleny bez małżeństwa pozyskać może. I już te wspomnienia zaczynają go nastrajać weselej, boć przecież z Eleną sprawa jeszcze nie przegrana, boć przecież zdoła jakoś odzyskać jej zaufanie. Nie takie trudności przełamywał! A jest przecież sojusznik! I oto na myśl o sojuszniku, przypomina sobie, jak przybywszy do Genui, przechadzał się pewnego razu nad morzem i układał plany postępowania z Eleną, gdy nagle spotkał człowieka, który zobaczywszy go, z uśmiechem ku niemu po spieszał. Pragnął wtedy skręcić gdzieś w bok, byle się z tym człowiekiem nie zetknąć. Ale było za późno, zetknęli się, no i przywitali, jak dobrzy znajomi. Ten, którego chiał Alfonso uniknąć, odziany był przystojnie, wyglądał na człowieka zamożnego. To hrabiego uspokoiło. Zaczęli sobie opowiadać przygody życia z lat kilku, odkąd się rozstali, wypuszczeni z więzienia w Barcelonie. Oczywiście unikali rozmowy o tym epizodzie niemiłym. Kolega z więzienia w Barcelonie opowiadał natomiast, że jest właścicielem hotelu w Genui, ale że mu się teraz źle powodzi, że mu grozi ruina. Był to pan Ramello, właściciel hotelu „Golf". Wzamian zwierzył się koledze z Barcelony Conte Alfonso, ze swoich planów co do Eleny, Ramello utwierdził go w przekonaniu, że można „dobrze zarobić, na tej erotycznej historyi, byle się zręcznie zabrać do rzeczy". I tak od słowa do słowa, aż zawarli ze sobą sojusz, by wspólnemi siłami dźwigać się finansowo, wzbogacić zręcznemi operacyami. Przez cały czas pobytu w Genui, porozumiał się Conte Alfonso ze swoim wspólnikiem, oczywiście bez wiedzy Eleny. Gdy do Wenecyi wyjeżdżali z Eleną, przyrzekł mu Ramello donosić to i owo, ostrzegać przed niebezpieczeństwem, użyczać rad i wskazówek, a to poste restante, pod pseudonimowym adresem.

Te wspomnienia pokrzepiły Alfonsa. Ramello poda radę, jak odzyskać zaufanie Eleny. I z tą pociechą dotarł gondolą do urzędu pocztowego. Wręczono mu list z Genui. Poznał pismo wspólnika.

„Sprawa zaczyna być niebezpieczną, pisał Ramello. — A natrafił na ślady. Wczoraj wyjechał do Genewy. Niech E. wycofa swoje pieniądze z Genui i ma je przy sobie, a gdy się to stanie, reszty sam dokonasz. Miej rozum".

Kazał gondolierowi płynąć dowoli, jazda na gondoli, jednostajny plusk wody, rozpruwanej wiosłem, kołysały go, uspakajały; odzyskiwał rozwagę spokojną i panowanie nad sobą. Aż dziwne nasunęły mu się refleksye. Ile to tajemnic kryją kanały Wenecyi? Ile to z gondoli staczało się w odmęt fali żywotów ludzkich? I któż odsłoni owe tajemnice? Historya tych kanałów uczy, jak łatwo pozbyć się człowieka, który zawadza, jak prędko można w tym odmęcie zagasić żywot ludzki.. jeżeli to komu potrzebne i przydatne! Uśmiechnął się do tej myśli, pocieszyła go, kazał płynąć ku Lido: wyskoczył z gondoli, pospieszył do hotelu i chciał się zobaczyć z Eleną, ale mu pokojówka powiedziała, że Elena chora i przyjąć go nie może.

XVII.

Miłość macierzyńska

To rozdrażniło Alfonsa, zwłaszcza, że go refleksye nad tajemnicami kanałów weneckich nastroiły dość wojowniczo względem Eleny. Ale nie można jeszcze rozpoczynać działań wojennych; zawcześnie; wpierw musi odzyskać jej zaufanie, wpierw trzeba ją skłonić do odebrania pieniędzy z banku, zatem cierpliwości mu potrzeba i na nowo maskę wdziać musi. Czeka, czeka cierpliwie. Zamknął się w pokoju i myśli, układa plany, rozważa, oblicza. Zapukano do drzwi. To listonosz przynosi list expresse z Genui wysłany. Coś nie zwykłego. Pismo Ramella, a list nie poste restante wyprawiony, jeno expresse. Zatem rzecz ważna, nagła. — Rozdziera kowertę. Ostatni dziennik, a w nim ustęp zakreślony ołówkiem. Czyta. „Ślady morderców w Salita Santa Nicola. Dowiadujemy się, że złamana spinka, znaleziona w pokoju zamordowanego, naprowadziła na ślad morderców. Jeden z najzręczniejszych agentów policyjnych wyjechał do Genewy, gdzie podobno znajduje się rozwiązanie tajemnicy".

Conte Alfonso zerwał się z krzesła, przechadzał się niespokojnie po pokoju, potem siadł, gorączkowo napisał kilka słów, włożył do koperty i posłał Elenie. Służąca wróciła po chwili z oznajmieniem, że Elena go oczekuje.

Poszedł natychmiast. Elena siedziała w fotelu, z okładem na głowie, osłabiona bardzo, zmęczona, apatyczna. Znikło z jej twarzy zadowolenie, które miłość wytwarzała; w oczach zgasły płomienie namiętności. Natomiast osiadł na twarzy spokojny smutek, w oczach była chłodna obojętność.

— Dziwię się panu, że po tem, co się wczoraj stało, nie dajesz mi spokoju i masz odwagę narzucać mi się z odwiedzinami.

— Eleno, daj spokój, zapomnij. Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

— Czy to nie nowy fortel pański? Przywykłam już nie wierzyć panu.

— Uwierzyć musisz. Oto dziennik. — Czytaj.

Z przerażeniem czytała. Odezwał się w niej głos miłości macierzyńskiej silniejszy stokroć od wszelkich względów na własną osobę.

— Do Genewy! do Genewy! Czemprędzej, zawołała gorączkowo.

— Po co? — zapytał Conte Alfonso z przekąsem.

— Po co? i pan możesz się pytać? Wszakże tam jest moje dziecko, po co tam policya się udawała? może zechcą się mścić na niewinnem dziecku, za zbrodnię matki. To przerażające. Oni mi gotowi dziecko zabrać, mogą je odesłać do Austryi i oddać rodzinie tego nikczemnika. Przedewszystkiem muszę myśleć, jak ocalić Wilhelminę.

Conte Alfonso ucieszył się tem ożywieniem Eleny, bo zrozumiał że znalazł się środek, załagodzenia tego wszystkiego, co Elenę od niego odstręczyć miało, mianowicie: uczucie miłości macierzyńskiej. Ona będzie teraz dla niego doskonałą bronią do zdobycia sobie na nowo zaufania Eleny; ale podróż do Genewy wydała mu się niebezpieczną, więc postanowił wszelkimi sposobami powstrzymać Elenę od zamiaru. Był mistrzem w dobieraniu argumentów, więc udało mu się zwolna przekonać Elenę, że wyjazdem do Genewy naraziłoby się Wilhelminę na istotne niebezpieczeństwo, gdyż policya dopiero wtedy mogłaby wyśledzić czyją Wilhelmina jest córką. Zwrócił też uwagę, że pani Winter niezawodnie byłaby coś napisała, gdyby policya czyniła poszukiwania w jej pensyonacie. Nie omieszkał też dodawać zapewnień, że gdyby miał najmniejsze podejrzenie, iż Wilhelminie cokolwiek zagraża, pospieszyłby do Genewy, choćby z narażeniem własnego życia.

Serce matki bywa nietylko tkliwe, ale i łatwowierne. Elena zapomniała o tem w tej chwili, że ją hrabia Alfonso dotkliwie obraził, że się na nim tak strasznie zawiodła. Zapomniała o podejrzeniach, jakie swem postępowaniem w niej obudził, i była jedynie troskliwą matką, pełną niepokoju o dziecko, upatrującą w Alfonsie obrońcę Wilhelminy.

— Tak więc moja najdroższa, trzeba się mieć na baczności, ale niema jeszcze powodu do rozpaczy, bo niebezpieczeństwo dość jeszcze dalekie. Oczywiście, że musimy na jakiś czas porzucić, Włochy i to jak najprędzej: Potrzeba więc koniecznie, abyś swój majątek miała pod ręką.

— Mam kapitały umieszczone w banku genewskim.

— Musisz natychmiast wezwać telegraficznie bank genewski, żeby ci pieniądze, przez któryś z tutejszych banków, w przeciągu dwóch dni wypłacono.

— A czy to można w ten sposób uczynić?

— Najniezawodniej. Przyszlą ci czek na kwotę złożonego kapitału i z nim udasz się do banku, który ci wskażą, po wypłatę pieniędzy.

— A cóż potem?

— Potem wyjedziemy.

— A moje dziecko?

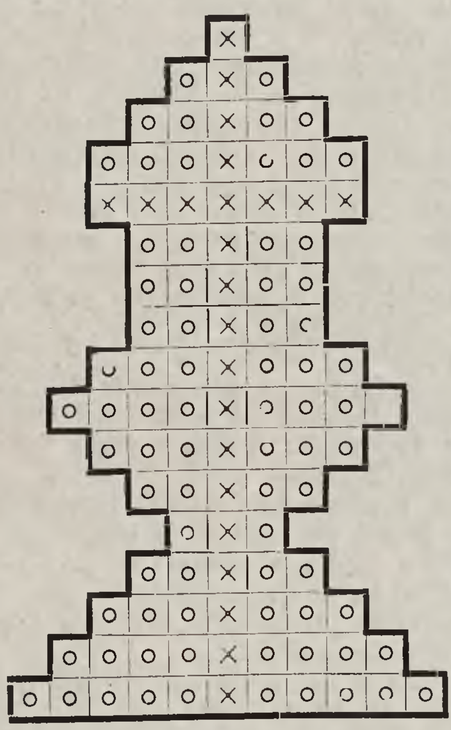
(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zagadki do nagrody

Kryptogram.

Ułożył Alfred Rotter.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko współczesnego pisarza polskiego, zaś litery w rzędzie piątym tytuł powieści tegoż pisarza.

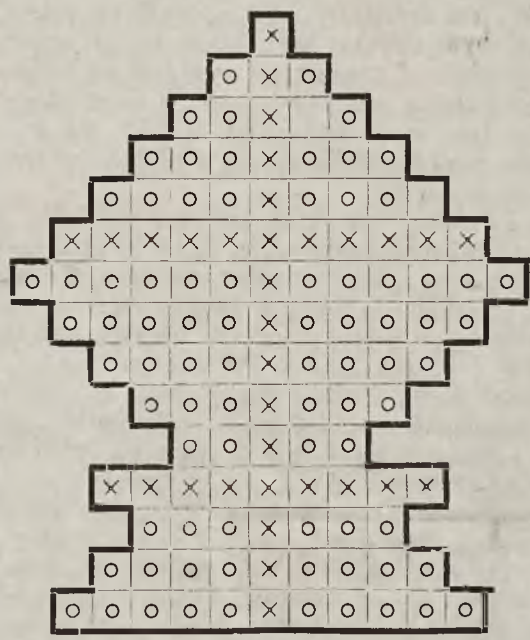


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Galicyi. 3. Owad dokuczliwy w lecie 4. Jedna z głośnych osób trylogii Sienkiewicza. 5. ? 6. Kwiat. 7. Imię postaci żeńskiej z »Quo Vadis« Sienkiewicza. 8. Instrument muzyczny. 9. Wyspa na morzu Śródziemnem. 10. Wyspa afrykańska posiadłość angielska. 11. Wiatr gorący (Włochy). 12 Roślina. 13. Poeta polski. 14. Zamek królów polskich. 15 Rabuś morski. 16. Miasto w Szwecyi. 18. Góry w północnej Syryi.

Arytmogryf.

Ułożył Alfred Rotter.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko poety polskiego, zaś litery w rzędzie 6 i 12 tytuły utworów tegoż poety.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 3. Święty ruski. 3. Bawidełko dla dziewcząt, albo tytuł powieści Prusa. 4. Miasto w Czechach 5. Kwiat. 6. ? 7. Błogi stan u kobiet 8. Miasto we wschodniej Galicyi. 9. Przyjemna rzecz. 10. Państwo w Afryce 11. Miasto w Królestwie Polskiem. 12 ? 13. Publicysta polski, autor »Wieczorów florenckich«. 14. Pseudonim poety polskiego z XIX. wieku. 15. Znakomity pisarz polski współczesny.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy 1 funt karmelków z fabryki cukierni Piaseckiego.

Rozwiązanie zagadek z Nru 12.

Kryptogryf.

K. noc, Synai, Kołyska, Holstein, Malabka, M n n. Gautsch, Białystok, Indsche, Korea, Marokko, Syrokomla, Jaronia, Wawel, korsarz, Czerkiesi, Colifure.

Konstanty Srokowski.

Zagadka

Joanici, Odyniec, zając, Urugay, Erlan, Edward, astr. lama, Ena, Żywiec, kilof, szkolnie, arbuz, Nawajko, Dunaj, Epir.

Jozue Aleksander Józef Carducci.

Arytmogryf

K, kos, Ispas, Benaret, Rinaldini, Indvana, Ohio, Kopalnie nafty, Nikolajewicz, Japończycie, Babadag, Rafał, ito y.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Towarzystwo »Zgoda« Krosno. F. Kalita Gawłuszowice, M. Świtlikowa Rzeszów, S. Gajdeczka Sieniawa, A. Rotter Stanisławów, M. Kozłowski Czerniowce. F. Niepokój Krosno, T. Doman Kołomyja.

Przez losowanie otrzymał nagrodę p. Kozłowski w Czerniowcach. Upraszamy o nadesłanie 70 hal. na koszta przesyłki.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).